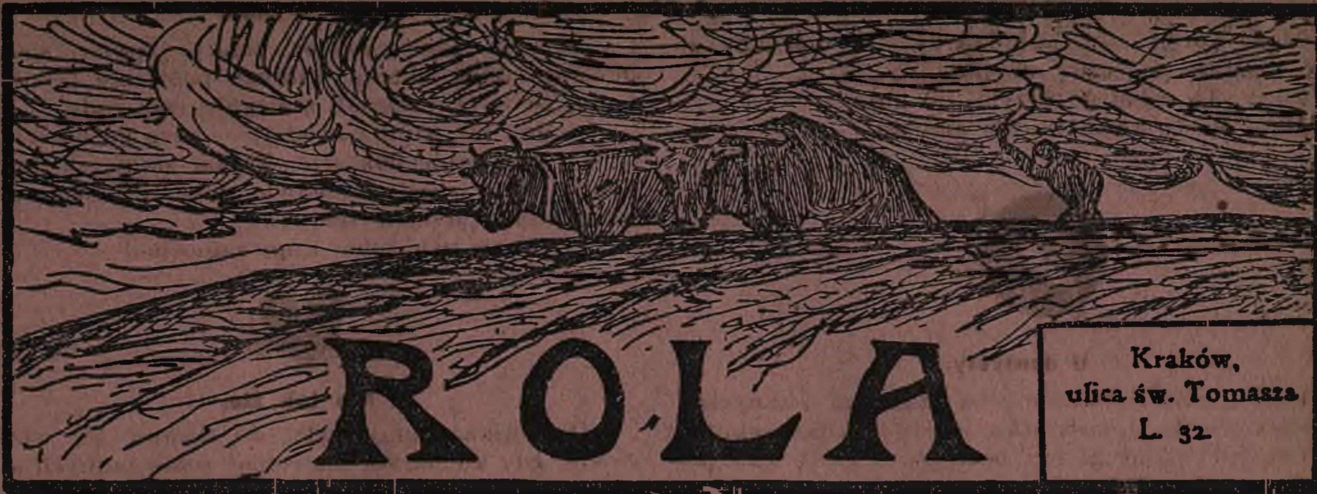
Numer 6. Nal. pozt. opł. ryczałtem. **Dnia 9 Lutego 1930**



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Twardy kotlet.

Mąż: Kotlet jest taki twardy, że możnaby go użyć zamiast podeszwy do buta.

Żona: To sobie go przybij do buta.

Mąż: Kiedy gwoździe nie przejdą.

U dentysty.

Pacjent: Za wyrwanie zęba żąda pan 5 złotych?! Przecież trwało to wszystko zaledwie kilka sekund.

Lekarz: Na drugi raz będę panu rwał zęba pół godziny i nie policzę drożej.

Odważny.

Żona (do męża, który ze strachu przed nią wlazł pod łóżko): Ostatni raz ci mówię, abyś w tej chwili wylazł z pod łóżka!

Mąż: Nie wyjdę, ja ci raz pokażę, że mam własną wolę.

Gapa we wsi.

— Powiedz mi chłopcze, gdzie mieszka Kuba Kozik?

— Adyć kole Józka Gajdy.

— No dobrze, ale gdzie mieszka Józef Gajda?

— Adyć kole Kuby Kozika.

— No to mi powiedz, gdzie obaj mieszkają?

— Kole siebie.

Tania rada.

Pewien przemysłowiec, znany skąpiec, spotyka pewnego dnia lekarza, którego pobieżnie tylko zna i ufa, że w tani sposób zasięgnie jego rady.

— Jak się panu powodzi? — pyta go lekarz.

— Źle, panie doktorze. Takim słaby, chyba pan doktór sam widzi, że ledwie nogami powłóczę. Co mam zrobić przeciw temu?

— Niech pan sobie kupi samochód.

Nie tak źle.

Dziennikarz przychodzi do domuw tej właśnie chwili, gdy kucharka, nie robiąc sobie żadnych skrupułów, zbiera z jego biurka papiery aby podpalić niemi ogień w piecu.

— Bój się Boga! — woła z rozpaczą. —Jak możesz palić moje papiery?

— Niech pan będzie spokojny — ona mu na to — ja biorę tylko te co są zapisane! Czystych nie ruszam wcale.

Roztrzepana.

— Gdzieś była Jadziu?

— Na plantach!

— Z kim?

— Sama!

— Nie, to być nie może! Poszłaś przecież z parasolką, a wracasz z laską!

Z tajemnic małżeńskich.

— O... coś macie prawy policzek jakiś bardzo napuchnięty?

— Trudna rada, moja żona używa lewej ręki!

Numer 6. Rok XIII. Kraków, dnia 9 lutego 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500 868.

Co czynić, aby przyjść do majątku.

Niema niemal na świecie człowieka, któryby nie chciał posiadać choć jakiego takiego majątku. Pragną majątku ludzie w rozmaitych celach: jedni, aby żyć bez troski, drudzy, aby użyć na tym świecie, ile się da, a jeszcze inni, aby móc wesprzeć bardziej potrzebujących od siebie. I jakkolwiek motywy są w każdym wypadku inne, to dążenie do zdobycia majątku jest zawsze jednakowe i powszechne.

Pierwszym warunkiem do zrobienia majątku to unikanie robienia długów. Pierwszy dług, to jak pierwszy krok błędny, staczający człowieka dalej do pochyłości — w przepaść. Co jesz, co pijesz, co nosisz, niech będzie twoje. Pamiętaj zawsze o tem, że wierzyciel twój budzi się nazajutrz bogatszym, bo noc mu przyniosła zysk na twoim długu, ale ty stajesz się biedniejszym, bo przez noc dług twój urósł. Nie pożyczaj nigdy, bo za pożyczone pieniądze kupisz nieraz to, czegobyś nie kupił, gdybyś nie miał łatwego kredytu. Jeżeli potrzebujesz jakiejś nawet niezbędnej rzeczy, to odłóż jej kupno do czasu, póki własnego grosza nie zaoszczędzisz. Bo wszystko, cokolwiek kupisz za pożyczony grosz, tylko cenę kupna powiększa i sprawia, że do dobrobytu nie przyjdziesz.

Im ciężej grosz zapracowany, tem większą posiada on wartość dla jego właściciela. Tymczasem grosz łatwo zdobyty, a więc i pożyczony, nie chce się jakoś trzymać człowieka i jak łatwo przyszedł, tak łatwo od nas odlatuje.

Aby przyjść do dobrobytu, trzeba rozpoczynać od oszczędzania, a nie od pożyczania. Trudna to może rzecz, ale możliwa. Wszyscy dawniejsi i dzisiejsi bogacze amerykańscy zaczynali od niczego; uzbrojeni w energję, pilność, skrzętność, wytrwałość, stopniowo, powoli torowali sobie drogę, pracując własnym trudem zdobytemi pieniądzmi. Stewart, biedny chłopiec irlandzki, miał w ostatnich latach życia półtora miljona dolarów dochodu rocznie. Astor, syn biednego dzierżawcy, pozostawił dwadzieścia miljonów dolarów. Stefan Girard, chłopiec okrętowy, zebrał dziewięć miljonów. I tak samo niemal wszyscy dzisiejsi bogacze.

Chcesz dojść do pieniędzy, bądź oszczędnym — oto sekret całej sztuki. Jeżeli nie masz majątku — oszczędzaj, byś doszedł do niego; jeżeli go masz — oszczędzaj, byś go pomnożył i zachował. Łatwiej jest zarobić, niż to, coś zarobił, utrzymać. A najważniejszym warunkiem dobrobytu jest zasada: Wydawaj zawsze mniej, niż zarabiasz!

Największym wrogiem oszczędności, a zatem i dorobienia się majątku, jest pijaństwo. Polacy wydają co rok na wódkę, wino, piwo i karty około 500 miljonów złotych. A któż się na tem bogaci, boć przecie pieniądze nie wpadają w przepaść? Oto przedewszystkiem szynkarze najrozmaitszego gatunku. Są wsi bez szkoły, są bez kościoła, ale bez szynku prawie ich niema. Ba! w niektórych wsiach jest ich nawet kilka. A w miastach? Weźmy pod uwagę Kraków. Mamy w nim wprawdzie kilkadziesiąt kościołów i kilkadziesiąt szkół, ale natomiast przy każdej ulicy dwa i trzy szynki, czyli razem kilka tysięcy. W kościele odbywa się nabożeństwo ku chwale Bożej godzinę, czy dwie dziennie, w szkołach uczą nauczyciele kilka godzin, a w szynkach odprawia się służba djabelska niemal bez przerwy. W kościele jesteśmy bardzo oszczędni, jeżeli przyjdzie dać grosz na ofiarę, na szkołę oszczędzamy, nie dając naszym dzieciom na najpotrzebniejsze przybory, ale w szynku: hulaj bracie! tam oszczędność za piec się chowa!

Bądź szczodry tam, gdzie idzie o dobro duszy, o oświatę, ale oszczędzaj tam, gdzie jest djabła królowanie, a najszybciej przyjdziesz do majątku.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

— W topieli: żółty kołacz... Może trochę za duży, ale trudno, rzekło się... Potem: tuzin czarnych baranów... Hm!... skąd ich wziąść teraz, kiedy słudzy smoka wyłowili wszystkie, które odbieżeli nasi, a nowych jeszcze niema... Wybili też w okolicy wszystką zwierzynę, że podobno bieda się tam na dobre zakrada... Co to jeszcze?... Aha! Swe włosy, i jego... smoka!.... Trochę się zagalopowałem, ale trudno... dać dam, a włosy, to choćby zaraz, ale na resztę, to musicie do lepszych czasów zaczekać...

— Ha!... pomóżcież mi bogowie dotrzymać słowa.

Przysadził się jeszcze raz i co tylko mógł wydobyć sił, ześrodkował je i ciągnął ręce.

Krew nabiegła mu do twarzy, żyły na karku wystąpiły jak powrozy i zabarwiły się purpurą, łyka wcisły się w ciało i cichutko trzasły.

Jeszcze trochę więcej siły, a urwie łyka.

Zwolnił i dyszał ciężko.

— Pomóżcie bogowie, pomóżcie!... wszak wasz interes tego wymaga, abym był wolny, bo inaczej źle z daniną!...

Przysadził się znowu.

Łyka znowu cicho trzasły, a on poczuł, że parę zwoji rozluźniło się na jego tułowiu.

— A gdyby tak jeszcze coś obiecać któremu, możeby prędzej pomogli! — pomyślał.

— Ty Walos, potężny opiekunie trzód, którego cię bardzo nadwerężył w twojem władaniu smok, bo wyjadł ci trzody, pomóż w ciężkiej opresji, a dam ci wołu, jakiego jeszcze nikt nigdy nie złożył ci w ofierze... — szeptał, a równocześnie, wydobywając ostatki sił, szarpnął rękami i jedną z nich wydobył z więzów.

— Dobrze! — pomyślał, a półgłosem dodał:

— Nie bój się Walos, bo com obiecał, dam, tylko pomóż!...

Wolną ręką macając koło siebie, wyszukał ostro zakończony kamyk i piłował nim zwoje łyka, które za chwilę opadły na ziemię poprzecinane, a on usiadł, obiema już rękami rozplątał węzeł u nóg i powstał.

Za chwilę ukląkł na oba kolana i wsparłszy się na rękach, zaczął się czołgać w stronę, skąd dochodziło go sapanie towarzysza.

— Kto tu? — zapytał szeptem.

— Topór!...

— A Jaksa?

— Niema go... może go już pożarł on... Przyszli, rozluźnili mu więzy, wyprowadzili na pole i coś długo z nim mówili... On się kajał, coś ręką wskazywał w stronę Tęczyna... Wreszcie zabrali go ze sobą.

— Nam też na koniec przyjdzie, ale tymczasem spróbujemy się nie dać.

Obmacywał przytem leżącego na ziemi Topora i szukał węzłów, które zręcznie rozplątywał.

— Co czynisz? — pytał zdziwiony Topór.

— Rozplątuję pęta!... co potem będzie, wiedzą bogi, ale łatwo pożreć się nie damy.

— A jużci! — odrzekł Topór i powstał, przeciągając odrętwiałe członki. — Żeby to chociaż siekierkę, — dodał wkońcu i macał się koło pasa.

— Żeby to siekierkę, — powtórzył Skuba. — Tobyśmy przez cały obóz smoka przeszli przebojem...

Uchylił choiny świerkowej w ścianie i wyjrzał na pole.

Opodal od ich szałasu, siedzieli na ziemi, oparci plecami o drzewa czterej ludzie.

Rękami opuszczonemi wzdłuż ciała, dzierżyli włócznie, zaostrzone żelazem.

Wyprawne łby tura zesunęły im się z głowy, — przyczem kiwali się na wszystkie strony, jakby jakieś dziwne wybijali pokłony.

Skuba usunął uwite z wikliny i choiny coś, niby dźwierze, wyciągnął rękę i lekko ujął za ostrze włóczni. Po chwili pociągnął ją ku sobie, a sam prędko schował się do środka. Strażnik poruszył się, coś mruknął pod nosem, lecz popuścił drzewce, a sam ułożył się wygodniej i począł chrapać, jakby go zarżnięto.

Za chwilę wysunął się znowu, włócznię podał Toporowi, a sam przyczołgał się do drugiego strażnika, wyciągnął mu ostrożnie broń i razem z Toporem, skradając się, zniknęli pomiędzy drzewami.

Dniało.

Przez szczeliny koron drzew wciskało się światło rodzącego się dnia i budziło ptaki i zwierzęta..

Świergot pierzastych mieszkańców boru napełniał stopniowo przestworze i tłumił szmery powodowane krokami Skuby i Topora.

Omijając szałasy, pogrążonych we śnie Normandów, kryli się, ile możności, pomiędzy niewycięte miejscami krzewy, aż wreszcie dotarli do krawędzi wzgórza, które nagle staczało się ku Wiśle.

W dole połyskiwała garbami fali do wschodzącego słońca toń, a na brzegu, tuż pod ich nogami, trzech ludzi oprawiało ze skóry barana, przyczem gawędzili ze sobą, i o dziwo, językiem, który dobrze rozumieli.

Stanęli za krzakiem i słuchali.

— Ostatni to baran z naszych zapasów, — mówił jeden — odbieżane przez mieszkańców trzody już wybrane, że nie wiem, czy na dwa dni wystarczy nam mięsa. A i w borze trudno już co upolować, bo mordowana i goniona zwierzyna widać razem z mieszkańcami się zmówiła i umkła w dalsze okolice...

— A tu książę tylko baraniny żąda. Dziki zwierz mu nie smakuje — dodał drugi.

— Niema obawy! Mamy jeńców, ci nam dostarczą mięsa — rzekł trzeci.

— Ano prawda, jednego już wysłano.

Skuba nadstawił ucha.

— Jak to, gdzie go wysłano?... Czy w krainę cieniów naszych przodków? Pewnikiem... Wyraźnie przecież mówią, że mięsa dostarczą im jeńcy...

— Niedoczekanie wasze! — szepnął przez zaciśnięte zęby, grożąc ręką uzbrojoną we włócznię w stronę obozu.

Przyczaił się lepiej za krzakiem i przemyśliwał, jak się dostać do rzeki.

Wiedział, że za chwilę zbudzeni ze snu Normandowie zapełnią każdy zakątek Wawelu, że zaroją się brzegi Wisły od sług Smoka, a toń rzeki pokryje się wartkimi łodziami najeźdźców. To też ucieczka z każdą chwilą stawała się coraz bardziej niebezpieczną i trza się było spieszyć.

— Co czynić? Wzgórzem niemożliwe, a tu ci trzej stanęli na drodze...

— Dwóch nas przecie, więc uderzmy! — szepnął Skuba.

— Nim się z nimi uporamy, narobią hałasu, że zbudzą cały obóz!...

— Nie szkodzi... będą nas szukać, chyba we wodzie... Zaspani, to się ani spostrzegą, gdzie się podzieliśmy! — przekonywał Skuba.

Ujął silniej włócznię, postąpił krok naprzód i co sił krzyknął:

— Tuście mi łotry!

Skoczył, roztrącił zdumionych Normandów nagłem ich zjawiskiem, jednego, który nieprędko usunął mu się z drogi, źgnął włócznią, poczem schylił się, porwał barana i razem z nim skoczył do wody, a za nim Topór.

— Nie zeżre dziś śniadania smok! — myślał i cieszył się w duchu, że choć w ten sposób dokuczy wrogowi.

W okropnym strachu upadli Normandowie na ziemię i dopiero po długiej chwili, przychodząc do siebie, szeptali:

— Pewnikiem topielice...

Pochylili się nad rannym.

Rana była nieznaczna, ale za to ranny ze strachu nie mógł nijak przyjść do siebie.

— Dziw!... Toż to nasza włócznia!... — rzekł jeden, oglądając narzędzie, którym raniono towarzysza.

— Musi być nasza... bo topielice swojej nie mają! — rzekł drugi z przekonaniem.

— Ale głodne musiały być, bo nam zabrały barana...

— Prawda!... Niech im będzie na zdrowie!...

I popluwali na wszystkie strony, aby odpędzić uroki...

— Ot, i bieda!... — rzekł po chwili jeden. — Co damy jeść księciu, gdy zawoła?...

— Ano barana niema...

— A niema!... I niema rady dostać innego!...

W strachu przed groźnym panem usiedli stroskani naprzeciw siebie i rozważali swemi tępemi zabobonnemi mózgami, jak zaradzić złemu.

Ale siedzą dość długo, postękali tylko trochę, ale barbarzyńskie ich łby nic wymyśleć nie mogły.

Naraz jeden podniósł głowę i spojrzał w dół rzeki.

— Patrzcie no! — rzekł do towarzyszy i ręką wskazał w zarośla.

Samym brzegiem rzeki, tuż koło wody, szedł w ich kierunku jakiś człowiek i niósł na ramionach zabitego, nawpół obdartego ze skóry barana.

I jeszcze większy porwał ich strach.

— Ni chybi, topielice...

Słońce wychyliło się z za wierzchołków drzew i ozłociło słomiany kapelusz, szary ociekający wodą samodział i runo, spoczywające na barkach tajemniczego tragarza.

XVII.

Skuba wystawił głowę na powierzchnię wody i spojrzał za siebie.

Słudzy Seminga zostali daleko w tyle, odgrodzeni gęstą wikliną.

Nie nurzając się więcej, płynęli spokojnie za prądem wody. W końcu uznali, że dość daleko oddalili się od wroga, zbliżyli się do brzegu i wcisnęli się w gęstą łozinę, łażąc na czworakach.

Za chwilę wyszli na małą polanę u stóp Wawelu.

Skuba przystanął, barana złożył koło siebie i rozglądał się uważnie, czy przypadkiem nie grozi im jakie niebezpieczeństwo.

— Starża! — zawołał nagle Topór, i znikł z powrotem w łozinie, a za nim Skuba.

W dali, na tle ciemnego boru, ukazały się im cztery postacie. Jedna odziana w szary samodział i słomiany kapelusz, a trzej postępujący za nim towarzysze w obcisłe skórzane stroje z rogami tura na głowie.

— To jego ludzie! — rzekł Topór.

Skuba wytężył wzrok.

— Znam ich! — rzekł po chwili. — To Krak i jego towarzysze!... Kierują kroki w stronę obozu smoka i ciekaw jestem, jakie bogi ich tam prowadzą, boć wiem, że Krak mu wrogiem!...

— Ale rodem z nim swój!... — rzucił Topór.

Skuba popatrzał na niego przeciągle i rzekł z naciskiem w głosie:

— Nie!... On nasz!

Teraz znów Topór popatrzał na Skubę.

— Jakto?

(Dokończenie nastąpi).

MARYŚKA Z KAMIONKI.

Żądza rybałta.

Czwarty sędzia otwarł swą księgę i czytał:

— Księga chłopa-rolnika, spisana przez ducha ciemności, Agricola. Mniejsze przewinienie odpokutowane już na ziemi, ale pozostają jeszcze takie sprawy, jak zaoranie sąsiadowi miedzy i powiększenie przez to swego zagonu. Kradłeś snopki żyta i pszenicy na dworskich polach, znosiłeś drzewo z lasu pańskiego. Za to wszystko księgi nasze przepisują długie lata kary ciemności.

Chłopek stał i drżał cały z obawy przed srogim wyrokiem. Uznawał on swą winę i nie znajdował słów na jej usprawiedliwienie. Ale ozwał się Marcin:

— Grzech to i grzech bardzo wielki. Ale przecież trzeba zwrócić uwagę i na okoliczności łagodzące! — Wszak on miał siedmioro dzieci, których nie mógł wyżywić swoim chlebem, a kupić nie miał za co. — Dzieci płakały i wołały jeść, a on nie mógł ich życzenia zaspokoić. Ukradł i popełnił grzech, ale przecież mniejszy to grzech, jak gdyby był pozwolił dzieciom ginąć z głodu. Popełniał grzech, ale grzech z miłości dla swych dziatek, a to przecie przewinę jego umniejszyć powinno! Nosił drzewo suche i palił, aby dzieci jego nie skostniały od mrozu. A oto te dzieci zanoszą teraz modły o zmiłowanie dla ojca i proszą o światło dla niego.

Waga w tej chwili skoczyła ku górze, a sędziowie większością głosów orzekli:

— Wybawiony!

Otwarły się drzwi i grono aniołków wyniosło na swych ramionach wynędzniałą postać chłopa.

— Skończone! — rzekli sędziowie. — A teraz na ciebie kolej!

Marcin truchlał na samą myśl, co z nim uczynić mogą. A gdy się sędziowie naradzili po cichu, jeden z nich zapytał:

— Pragnąłeś złota i dlatego tu jesteś, prawda?

—Tak! — odrzekł rybałt.

— A widziałeś, co się stało z bogaczem?

— Widziałem!

— I nie przeraziło cię to?

— Przeraziło! Wyrzekam się więc wobec wszystkich tu prześwietnych sędziów i przysięgam, że już nigdy nie będę pragnął cudzych bogactw.

— Powtórz więc przysięgę, a każemy cię z jaskini wyprowadzić.

A gdy Marcin to uczynił, sługa sądowy zaświecił latarnię i poprowadził go długiemi, ciemnemi korytarzami. Skręcili na lewo i stanęli przy wielkich, żelaznych drzwiach, które się im same otworzyły. Przechodzili przez wielkie sale, w których znajdowały się liczne skrzynie, napełnione złotem i innemi kosztownościami. Marcin nie mógł oderwać wzroku od złota, a serce jego zaczęła napełniać żądza, by chociaż garść złota schować do kieszeni.

Wreszcie weszli do wielkiej sali, w której na środku znajdowała się wielka kupa nowiusieńkich złotych monet. Marcinowi zaszkliły się oczy.

— Słuchaj, Marcinie! — ozwał się przewodnik — zapomniałem sobie coś w sali sądowej. Zaczekaj tu na mnie, a ja wkrótce wrócę.

— Dobrze, że poszedł — pomyślał sobie Marcin i jął całemi garściami napychać kieszenie błyszczącem złotem.

Kiedy przewodnik powrócił, rybałt tak był obładowany złotem, że ledwie się poruszał.

I znów szli dalej, a Marcinowi zdawało się, że idą całe wieki. Nareszcie przewodnik zawiązał mu oczy, a kiedy po dłuższej podróży zdjął mu z nich opaskę, Marcin poznał, że znajduje się w znajomej okolicy.

— No teraz sobie ruszaj, gdzie ci się podoba — rzekł przewodnik i znikł momentalnie, a rybałt tak niespodziewanie uwolniony, puścił się pędem przed siebie, a jeno serce biło mu, jak młotem.

* * *

Upłynęło kilka tygodni, a o Marcinie nie było ani słychu. Anulka popłakiwała po kątach, gdyż nie wiedziała, co ma myśleć o zniknięciu rybałta. Ludzie we wsi uśmiechali się znacząco, czem jeszcze bardziej krwawili serce biednej dziewczyny. Ale ona nie traciła wiary w ukochanego, boć wiadomo, że miłość zaślepia. Jeden ksiądz proboszcz pocieszał ją, mówiąc, że lepiej się stało, jak się stało.

— Rybałt zawsze pozostanie rybałtem — mówił. Dali oni się już niejednemu we znaki z powodu swego rozpustnego życia. Wprawdzie dawniej byli lubiani, a szlachta chojnie ich wspierała, ale dziś każdy nimi pogardza, a księża muszą ostrzegać ludzi przed nimi z ambon. Chociażby i ślub był wziął z tobą, byłby cię wkrótce porzucił, bo u nich żądza złota i uciech góruje ponad wszystkiem.

Anulka wiedziała, że ksiądz prawdę mówi, ale mimo to tęskniła za Marcinem, boć przecie rozum siedzi w głowie, a nie w sercu. I jakże miała zapomnieć i nie płakać, kiedy się samo płacze, a wspomnienia przeszłości same na myśl przychodzą.

Jedyną jej rozrywką teraz były rozmowy z matką o Marcinie i wspomnienia dni minionych.

Kiedy jednego razu siedziały znów przy kominku i rozmawiały o zaginionym, otwarły się drzwi i stanęła w nich jakaś obdarta, pokaleczona i bosa postać.

— Wszelki duch!... — krzyknęły przestraszone niewiasty; ale gdy lepiej się przypatrzyły, poznały w przybyłym oczekiwanego Marcina.

— Marcinku! Co ci się stało? — zawołała Anulka

— Nic, nic! — ozwał się przybyły. — Jestem zdrów, mam złoto, dużo złota, przyniosłem ci... Patrzaj!

Mówiąc to, począł wyciągać z kieszeni i kłaść na stole jakieś czarne kamienie, poobwijane w zieloną rzęsę.

— Patrz i ciesz się, jakiem ci śliczne prezenta przyniósł! Chi... chi... chi... Marcinek nie głupi! — Chi... chi... chi... Ciebiem przyszedł odwiedzić, a potem polecę do niej, do Fali!... Ona tam czeka, ona tam tęskni za mną!... A kraśniejszej nie masz od niej! Chi... chi... chi... Pieniądz daje szczęście Anulko! —



Pieniądz daje sławę! Fala piękna... ona moja, moja na wieki! Cha... cha... cha...! Ma złota pełne skrzynie; ona królewna! Och do niej, do niej, do Fali, do kochanki, do żony! Ona pieści, ona ściska, ona kocha, jak żadna na świecie! Chi... chi... chi... Do niej polecę, a i do ciebie znów kiedy powrócę... Ona tam czeka!...

Rzekłszy to, rybałt wybiegł z izby i zniknął w ciemnościach nocy.

— Zwarjował! — krzyknęła Anulka i padła zemdlona na ziemię.

— — — — — — — — — — — —

Upłynęło dwa lata, a o Marcinie nikt nic nie wiedział. Aż jednego razu znaleźli go chłopi pod lasem niedaleko wioski nieżywego.

Anulka długo jeszcze go opłakiwała, aż wreszcie zapomniała, a wyszedłszy za mąż za wiejskiego chłopaka, poznała dopiero, co to jest prawdziwe szczęście.

KONIEC.



Myśl samotnika.

Karnawału lecą głosy,
Echo płynie od muzyki,
Trunek płynie strumieniami,
Lica płoną... Brzmią okrzyki.

Serca ludzkie rozpalone
I umysłu wiotkie mary,
Ani zwrócą się w tę stronę,
Gdzie tkwi obraz nędzy szarej.

Gdzie muzyki dźwięk nie płynie,
Gdzie okrzyków nie brzmią głosy,
Gdzie w prawdziwej łez dolinie,
Jęk się wzbija pod niebiosy.

Gdzie w codziennej życia dobie
Pełno tylko trosk i bólów,
Skąd ku Tobie modły płyną,
Stwórco świata, Królu królów!

Ty znasz, co to łzy i bóle,
Co światowe blaski znaczą,
Więc w radości gdy świat tonie,
Racz wspomagać tych, co płaczą.

Wł. Frącz.

CHWAŁA I KLĘSKA NAPOLEONA.



Napoleon Bonaparte, stanąwszy u szczytu swej potęgi, władał niemal całą Europą, jak pan nieograniczony. Jedną ręką groził bezsilnym nieprzyjaciołom, drugą porywał i przywłaszczał sobie prowincje i królestwa. Najprzód strącił z tronu holenderskiego uczciwego brata swego Ludwika, który nie chciał przyłożyć ręki do ucisku swoich poddanych. Holandja została przyłączona do Francji. Potem zagarnął Niemcy północno-zachodnie, następnie papieża kazał wywieźć z Rzymu, a państwo jego przyłączył do Francji. U stóp jego leżały Austrja i Prusy, Anglja na lądzie była bezsilna. Zawadzała mu jedynie Rosja i tę postanowił zniszczyć.

Napoleon zbierał wszystkie siły do tego boju, a Polskę obrał na miejsce zbioru licznych swoich wojsk. Do 480 tysięcy Francuzów i Włochów przyłączył 100 tysięcy wojsk niemieckich i z tą przeszło półmiljonową armją przekroczył dnia 24 i 25 czerwca 1812 roku graniczną rzekę Niemen.

Polacy, mając nadzieję, że Napoleon wskrzesi niepodległość Polski, garnęli się licznie pod jego sztandary. Na czele wojsk polskich stanął książę Józef Poniatowski, który pozostał wierny Napoleonowi aż do samej śmierci w nurtach rzeki Elstery.

Na obrazku naszym widzimy księcia Józefa, który przed wyprawą na Moskwę w towarzystwie szwagra Napoleona Joachima Murata, marszałka wojsk francuskich, wjeżdża w mury stolicy Polski Warszawy.

Szedł Napoleon przez ziemie rosyjskie niepokonany. Pod Smoleńskiem i nad rzeczką Moskwą starali się go Rosjanie powstrzymać, ale po krwawej

bitwie musieli się cofnąć. Niepowstrzymany dotarł do Moskwy i 14 września 1812 r. wszedł do wielkiej, pysznej stolicy carów. Z murów nie padł ani jeden strzał, nigdzie nie czatował nieprzyjaciel, ale też nikt nie szedł go witać i podziwiać. Głucha cisza panowała na ulicach. Większa część mieszkańców uciekła, a ci, co pozostali, siedzieli zamknięci w domach. Wyludnienie takie nie podobało się Francuzom, zwłaszcza że i żywności zaczynało im brakować.

Nagle we wszystkich stronach miasta wybuchnął pożar, wicher przenosił krwawe płomyki z domu na dom, a niebawem cała Moskwa pokryła się jednem morzem płomieni. Napoleon pozbawiony przytułku, mający obok siebie setki tysięcy wygłodniałych żołnierzy, nie mógł zimować wśród zgliszcz spalonego miasta. Zarządził odwrót, a niebo samo przyszło z pomocą Moskalom. Rozsrożyła się okrutna zima; mróz dobierał się do kości źle okrytych Francuzów, a ze wszystkich stron poczęły się wysuwać oddziały rosyjskie i następować na pięty cofającemu się wrogowi. Ludzie i konie padali wycieńczeni głodem i zimnem, a śnieg, jak całun śmiertelny, pokrywał martwe ofiary. Nad Berezyną, dopadli ich Moskale i podczas samej przeprawy przez rzekę wybili ich 30 tysięcy. Napoleon opuścił armję i samotny uciekał, ile sił starczyło do Francji. Klęska Francuzów byłaby jeszcze większa, gdyby nie wojsko polskie, które do ostatniej chwili zasłaniało swemi piersiami nieszczęśliwy odwrót z pod Moskwy.

Odwrót ten był grobem chwały niepokonanego dotąd Napoleona.

KAŚKA MYRDALONKA GADA:



Maciek dostał pypcia na języku od ciągłego pyskowania na rodzaj niewieści i latego mnie dzisiaj zniewolił, aby ja za niego do „Roli" nagadała. Oj nagadałabym ja mu, nagadała, ale warzechą po głowie za tę całą niewinność, jaką on na nase babskie nasienie rzuca. Moiściewy, cy widział kto, aby taki pyskac po tem świecie na swoich kulasach jesce się selentał, a nikaj pokarania boskiego za swój pysk nie znalaz. Ale przyjdzie i na jego koniec, o przyjdzie, bo dopóty dzban wodę nosi, póki się śniego woda nie wyleje.

Ocajdusa wyćciwia na przyciśnione niewiasty i zeby to choć było o co. Mierzi go, ze se jedna i druga pełechy na łepecie podskubała, ze tamta, albo tamtą oberznęła se spodnice na półtora łokcia powyzej kolan, zedzi go, ze se tam którasik gębę cyrwonem atramentem posmarowała, abo perlfumami się zapachniła. Jakby był mądry, toby go to nie złościło, ale ciesyło. Jakby był mądry, toby wiedział, ze im krótse pełechy, to się tam mniej tych białych nieboraków utrzyma i nie będzie potrza tyle casu tracić w niedzielę na iskanie, ale więcej się go będzie mogło ochwiarować na beśtefranty la tego, cy inksego śturkaca. Jakby był mądry, toby wiedział, ze krótka przyodziwa, to najlepse zabezpiecenie od pchłów, bo śniej prędzej to wszyćko wyleci, jak ino która mocniej siedzeniem przy jakiejkolwiek okolicności porusy. Gdyby był mądry, toby się nie ciskał, jak se tam która jadackę zacerwieni, boby wiedział, ze im która chałupa brzydsa, to ją częściej malować potrza. Jakby był mądry, toby wiedział, ze kuzdą niewiastę, cy to hrabiankę z miasta, cy dzieuchę ze wsi, zawse cuć trochę kobicością. Jak się osmrodzi jakiemś pachniącem olejkiem, to się przecie i chłopakowi milej do niej zblizyć. Jakby był mądry, toby wiedział, ale cy to znajdzie gdzie chłopa całkiem mądrego na świecie? Zreśtą choćby on był i najmądrzejsy, to zawse jest w niem trochę głupiości i juz na to nikt nie poradzi!

Wkiejsik śli przez Psią Wólkę zołmirze i tak sobie śpiwali:

W poniedziałek rano kosił ojciec siano; kosił ojciec, kosił ja, kosiliśmy obydwa. A we wtorek rano grabił ojciec siano; grabił ojciec, grabił ja, grabiliśmy obydwa. Zaś we środę rano, susył ojciec siano; susył ojciec, susył ja, susyliśmy obydwa. Znów we cwartek rano kopił ojciec siano; kopił ojciec, kopił ja, kopiliśmy obydwa. A zaś w piątek rano woził ojciec siano; woził ojciec woził ja, woziliśmy obydwa. Juz w sobotę rano przepił ojciec siano; przepił ojciec, przepił ja, przepiliśmy obydwa. A w niedzielę rano płakał o to siano; płakał ojciec, płakał ja, płakaliśmy obydwa.

No i powiedzcie sami, cy oni nie byli głupi obydwa? Harowali bez cały tydzień, a całą swą pracę w sobotę u Mośka zostawili. Juz to prawdę rzec trzeba, ze chłop, cy to wsiowy, cy miastowy, to całe scęście swe widzi w wódcysku, a dopiero wtedy jest naprawdę mądry, jak sobie dobrze pałę zaleje. Kobita to co inksego, wódcyska napić się lubi ino co druga, fajki nie kurzy prawie zadna, bo te miastowe, co ćmią papirusy, to się nie rachują, a i tak na nie byle Maciek z ozorem wlizie i dobira się jej pod piąte ziebro. A przecie wiadomo, ze niewinnej niewiaście do scęścia wystarcy, jak choć raz na dzień moze się o jakie takie portcęta obetrzyć, a za zadnemi zbereźeństwami nigdy przed wiecorem nie lata. A chłop to co? Niby to na baby wymyśla, a jak jaką, choćby juz i dobrze przechodzoną, zuźry, toby leciał za nią i na kraj świata, jakby się ino taka znalazła, coby przed niem uciekała. Ale my nie głupie i uciekać nie będziewa!



Przyjdź!...

Przyjdź bo ma miłość bolem się zaprószy,
Przyjdź bo tak pragnę twego ukojenia,
Byś się balsamem rozlał w mojej duszy,
Byś mi na wieki dał łaskę milczenia.

Tyś jest aniołem co błądzi po ziemi
Ty jesteś moją największą tęsknotą
Duchu milczenia z skrzydłami białemi
Niech mnie do ciebie ścieżki życia wiodą.

Cisza w mem sercu bo ciebie tu niema
Stoję i patrzę jakby obłąkana
Gwiazda co wieczór przezemnie czekana
Dzisiaj już zgasła, umarła i niema.

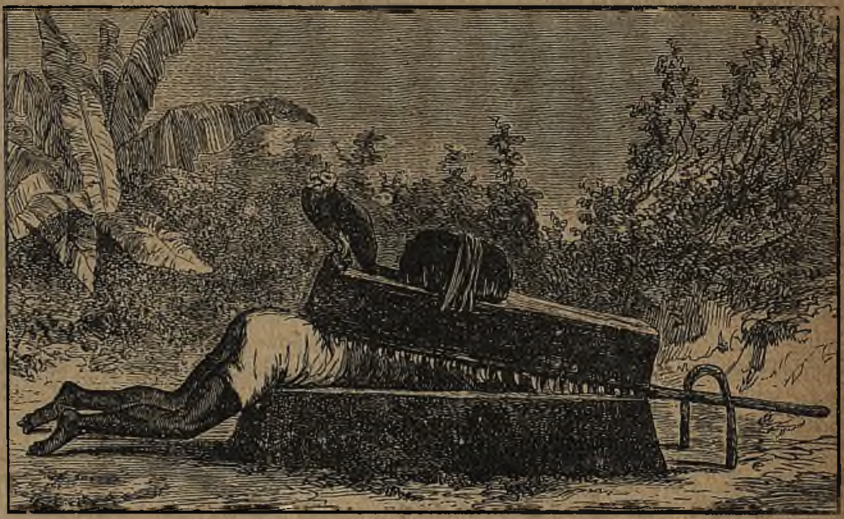
Irena Kaputówna.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Wybrzeża Niewolnicze II.

Jak to zaznaczyliśmy już w poprzednim numerze »Roli«, czarni mieszkańcy Wybrzeży Niewolniczych składają głównie ofiary z ludzi bożkowi wojny Ogunowi, młodszemu bratu Szango, boga piorunów. Rzeka Ogun przepływająca obok miasta Abeokuty, jest mu poświęcona, a według mniemania czarnych, bożek Ogun i rzeka tegoż nazwiska są jednem i temsamem pojęciem.

Ogunowi zawdzięczają czarni znajomość sztuki kowalskiej. Symbolem jego jest żelazo, częściej nóż, szabla lub pal z dzwonkami u góry. Forma symbolu zmienia się odpowiednio do zręczności kowali. Ponieważ żelaza do każdego używają rzemiosła, przeto i Ogun ma licznych czcicieli.



Śmiertelna paka murzynów.

Ogun ma swoją oddzielną świątynię, ale myliłby się ten, ktoby przypuszczał, że świątynia ta ma choć coś niecoś z jakiej takiej wspaniałości. Przeciwnie, jest to nędzna, okrągła lepianka, pokryta słomą, w której drzwi zastępuje mata; naokoło wznoszą się lepianki kapłanów. O świątyni tej pomówimy jeszcze obszerniej w następnym numerze „Roli“.

Bożek Ogun jest ciągle głodny, a według mniemania biednych dzikusów lubi on bardzo mięso, a że najwięcej przypada mu ludzkie mięso do smaku, więc też starają się o zaspokojenie głodu swego ulubieńca. W czasie wojny ma żarcia poddostatkiem, w czasie pokoju jednak nieraz na głód się uskarża, gdyż niewolnicy są drodzy. Ale cóż robić, jeżeli bóg chce jeść, trzeba mu dać, bo inaczej mogłoby być źle. I oto znów na naszym pierwszym obrazku widzimy krwawą ofiarę biednych i nieoświeconych dzikusów murzyńskich. A trzeba przyznać, że mają oni moc strasznych sposobów mąk, któremi starają się jak najbardziej wkraść w łaski swojego ulubieńca. Tym razem na obrazku widzimy śmiertelną pakę, której wieko nabite jest gwoździami. Do paki tej wkładają tułów żywego człowieka i nakrywają go wiekiem tak, aby nogi wystawały z paki, zaś w plecy wbijały się gwoździe. Na wieko kładą ponadto kamień, który wtłacza gwoździe w ciało nieszczęśliwego skazańca. Nim bóg zje swoją ofiarę, może się przez czas pewien delektować krwią z niej wypływającą.



Dwa sposoby męczarni.

Serce się ściska na samą myśl, ile ten nieszczęśliwiec musi wycierpieć, zanim ducha wyzionie.

A oto znów inny, równie zgrozą przejmujący obrazek. Widzimy na nim dwa sposoby męczarni. Przywiązany do pala i obłożony gałęziami stoi biedny skazaniec, przeznaczony na ofiarę bożkowi. Jeden z murzynów poprawia płonący ogień, inni usiedli obok i wygrywają skoczne melodje na pewnego rodzaju bębenkach, aby straszną śmierć biednej ofierze umilić. A opodal na drzewie wisi inna ofiara krwawego boga. Drzewo to, jak utrzymują czarni, było zasadzone w głowie ofiary i z tej przyczyny zupełnie skarłowaciało. Na drzewie tem wiszają skazańca, przepasanego pod pachami mocnym sznurem. Ponieważ Ogun nie jest samolubem i chętnie dzieli się swemi ofiarami z innemi bóstwami, przeto ofiarodawcy czynność tę sami mu ułatwiają. Czynią to zaś w jeszcze stokroć bardziej barbarzyński sposób, gdyż żywej ofierze ucinają ręce i nogi i niosą je wskazanemu bóstwu. Kiedy zaś owa ofiara już skona na tem strasznem drzewie, symbolicznym pałaszem ucinają jej głowę, wydobywają z trupa wnętrzności, które wieszają na szyi bóstwa Elegba (zły duch); serce zaś wyrywają, które zjadają sami kapłani na wstrętnej uczcie, urządzonej zaraz po złożeniu ofiar.

Kiedyindziej znów nogi skazańców przybijają do belki i w takiem położeniu wystawiają ich na działanie promieni słonecznych. Gdy zemdleją, oblewają ich świeże rany wódką, a tłum w uniesienu radości tańczy i wyskakuje koło tych nieszczęśliwych. Ofiary te pozostają w takim stanie nieraz i trzy dni, zanim wydadzą ostatnie tchnienie.

Dziś i tam władza białych coraz bardziej dociera, wskutek czego z rokiem każdym mniej tych okrucieństw, ale mimo wszystko wykorzenić ich zupełnie nie można, gdyż zbyt głęboko wsiąkły w naturę dzikich murzynów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

— Zastałem pana mandatarjusza? — zapytał tonem, jakgdyby mówił do podwładnych.

Pan Gągolewski strasznie się nasrożył i wyprężył w całej postawie.

— Czego sobie pan życzy? — zapytał z surową powagą.

— Chcę go poznać przedewszystkiem — odpowiedział nieznajomy i wyciągnął rękę ku zagapionemu mandatarjuszowi, który mimowolnie prawie wysunął dłoń do uścisku.

— Z kimże mam honor? — przebąknął, jakgdyby zawstydzony tą poufałością.

— Zaraz, zaraz, mój łaskawco i dobrodzieju — ciągnął dalej nieznajomy, jakby do najpoufalszego mówił przyjaciela — niech się pierwej rozkwateruję.

I nim jeszcze skończył mówić, rzucił swój tłomoczek i czapkę na najbliższe krzesło, laskę niedbale potrącił w kąt i twarz otarł z kurzu.

Pani sędzina i reszta przytomnych przypatrywali się każdemu poruszeniu nieznajomego, ze zdziwieniem ludzi, którzy sami nie wiedzą, jakie przybrać miny i jaki zachować ton.

— Chcesz pan wiedzieć jak się nazywam? — poderwał nieznajomy — dobrze, wyjawię panu wszystkie moje nazwiska, a z nich wybierz sobie, jakie zechcesz.

— Jakto? — wycedził mandatarjusz, który z pierwszego zdziwienia przechodził w jakiś przestrach mimowolny.

— Słuchaj pan tedy: po chrzcie zowię się Damazy, po ojcu Czorgut, w szkołach nazywano mnie Katiliną, w klasztorze Bazyljanów braciszkiem Pantaleonem, a w naszym pułku Żelaznym wilkiem.

Po każdem z tych wyliczonych imion i tytułów pan mandatarjusz o krok cofał się w tył, pan Girgilewicz zawsze o cal szerzej rozdziawiał gębę, a pan aktuarjusz coraz wyżej podciągał swe kolorowe kołnierzyki. Tylko pani sędzina siedziała niema i nieruchoma na swem krześle.

Nieznajomy, którego odtąd będziemy nazywali po jednem z jego licznych imion i przydomków, wybuchł znowu głośnym i rubasznym śmiechem.

— A co? prawda, że jest w czem wybierać?

— Ale czegoż odemnie chcesz... pan? — zapytał pan sędzia, zacinając się przy ostatnim słowie.

— Wstąpiłem tak sobie po drodze, mój łaskawco i dobrodzieju — odparł najspokojniej i usiadł wygodnie na najbliższe krzesło.

Pan sędzia zgłupiał do reszty, pan Girgilewicz prędko zamknął gębę, bo uczuł, że dalej niepodobna jej roztworzyć.

— Jakto po drodze? — zapytał znowu pan mandatarjusz i aż pod samą prawie przeciwną cofnął się ścianę.

— Idę do waszego dziedzica — rzekł Katilina krótko i stanowczo.

— A skądże droga prowadzi? — zapytał pan Girgilewicz.

— Wprost z Hermansztadtu, z Siedmiogrodu.

— Trudno, abyś pan już dziś zaszedł do Oparek, bo to jeszcze dobra mila — wtrącił pan Gustaw Chochelka.

— A komużby się tam chciało iść w nocy! — oburknął pan Damazy. — Przenocuję u was!

Pani sędzina wydęła wargi niekoniecznie przyjemne, a pan sędzia mruknął coś pod nosem.

Czorgut nic sobie jednak nie robił z widocznego ich niezadowolenia, ale owszem rzekł niby uprzejmie:

— Tylko sobie nie róbcie państwo żadnego zachodu; ja tam niewiele dbam o wygody. A zresztą niebawem powetuję sobie wszystko u Julka.

— U kogo? — zapytali jednocześnie wszyscy obecni.

— U Julka, mówię: wasz dziedzic nazywa się przecież Juljan Żwirski?

Na taką poufałość z imieniem dziedzica pogłupieli wszyscy do reszty. Pan sędzia wytrzeszczył oczy, pani sędzina nastroszyła uszy, a pan Girgilewicz rozdziawił gębę po ekonomsku, że nie jedna, ale całe stado wron znalazłoby w niej pomieszczenie.

— To pan dobrodziej... — odezwał się po dobrej dopiero chwili pan mandatarjusz, grzecznieję nagle do niepoznania.

— Co ja? — zapytał Damazy napół drwiąco.

— Pan dobrodziej jest...

— Dawnym znajomym dziedzica? — dokończyła sędzina.

— Więcej niż znajomym, moja mości dobrodziejko! — odparł Czorgut napuszony. — Muszę sobie od-

dać tę sprawiedliwość, że jestem jego przyjacielem.

— Panowie zapewne już dawno nie widzieli się z sobą — odważyła się zapytać sędzina.



Czy zastałem pana mandatarjusza?

— O tak, już przeszło sześć lat minęło, los w zupełnie inne zapędził nas strony, jego poprowadził do pałacu, a mnie, Bóg wie którędy.

Pan mandatarjusz pokiwał głową ze znaczeniem, a pan Chochelka ściągnął brwi do góry i szepnął półgłosem: Podejrzany ptaszek.

Pan Damazy Czorgut coś niespokojnie obejrzał się po pokoju.

— Czy państwo już po kolacji? — zapytał nagle.

— O jeszcze nie! — odparła sędzina, nieprzygotowana wcale na takie zapytanie.

— To proszę dla mnie najmniejszego nie robić sobie zachodu — ozwał się pan Damazy na nowo. — Zjem co bądź, zwłaszcza, żem djablo głodny.

— Zaraz każę przyspieszyć kolację — wyrzekła pani sędzina i wstała z krzesła.

Pan Damazy obrócił się do pana mandatarjusza, który się czegoś głęboko zamyślił, i rzekł:

— Nie smuć się łaskawco, że nie możesz mnie godnie przyjąć w swym domu, ale jakoś dam ja sobie już radę.

Pan sędzia już miał coś na to odpowiedzieć, lecz wtem pojawiła się w progu pani sędzina, prosząc panów na kolację do drugiego pokoju.

IV.

Nieboszczyk starościc Żwirski.

W pół godziny później, siedziało napowrót całe towarzystwo w bawialnym pokoju a pani sędzina przyrządzała herbatę przy ubocznym, czerwoną serwetą okrytym stoliku.

Dzięki tej sporej butelce wcale nie złego rumu, a wybornemu przykładowi i ciągłym zachętom Katiliny, całe towarzystwo po jednej szklance w lepszym i weselszym ujrzało się humorze niż kiedyindziej po trzech lub czterech.

Pani sędzina wyniosła się do swego pokoju a pan Damazy, zapaliwszy fajkę z najdłuższego cybucha gospodarza, rozparłszy się jak najwygodniej na przyległej sofie, zapadł na chwilę w jakieś głębokie, niezwykłe u siebie zamyślenie.

Naraz zwrócił się do gospodarza.

— Powiedziałem jegomości — rzkł, dmąc przed siebie ogromny kłąb dymu — że lubo zespolony z Julkiem najściślejszym węzłem przyjaźni, musiałem od lat czterech zupełnie stracić go z oczu, i nie wiem, ani w ząb, jakim sposobem do tak ogromnej przyszedł fortuny.

— Jakto? — zapytał pan mandatarjusz zdziwiony — nie wiesz pan, że zagarnął całą spuściznę po nieboszczyku starościcu Żwirskim?

— O, o tem dowiedziałem się, zaledwie wróciłem do kraju, lecz radbym wiedział, jakim cudownym wpływem czy przypadkiem dostąpił tego szczęścia niespodziewanego.

Pan mandatarjusz podciągnął brwi do góry i bardzo ważną przybrał minę.

— Pan nie słyszałeś nic a nic o nieboszczyku starościcu?

— Nic zgoła; lecz któż to był tedy ten nieboszczyk starościc? — pytał dalej Katilina.

— Szczególny człowiek! — mruknął mandatarjusz z naciskiem.

— Ho, ho! — wykrzyknął wesoło Katilina — słucham pana.

— Nie wiem tylko od czego panu zacząć — zawahał się mandatarjusz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sprawiedliwie.

Fela siadł ciężko na ławie i zamyślił się głęboko. Twarz jego poorana bruzdami, kiej rola pod oziminę, zdradzała frasunek. Szare, wybladłe oczy błądziły bezmyślnie po podwórku, zatrzymując się to na gnojówce, to na ocpach drzewa, ustawionego pod szopą, to znów biegły het, kaj niebo styka się z ziemią...

Widać, że chłop miał jakoweś zmartwienie, o które ta na wsi nie trudno, bo co chwila wzdychał głęboko.

Jakże nie miał o czem medytować a troskać się, kiej przednówek dał mu się tak we znaki, że do gęby nie miał co włożyć a dzieciska drobne to aże z głodu chorzały. Wyrobnik był a nie żaden gospodarz to juści przednówek był la niego prawdziwem konaniem. Coprawda niewiela ta lepiej było u innych w ten ciężki czas wojenny, bo naród był wyniszczony przez różne nieszczęścia ogromnie.

Z wiesny rekwizycje wojskowe nastąpiły, bo ruscy przeszli i nawet chłopów z podwodami pobrali, to Niemcy później wpadli i jak te złodzieje kradli, kaj ino co mogli, to różne inne nieszczęścia bić we wieś poczęły, kiej wicher.

Marnacja narodu i wszyćkiego opanowała wieś... A tu i głód na przednówku zwalił się jako co rok, że naród wił się w nieszczęściach kiej ta glista przydeptana. Do najbogatszych nędza się wdzierała a wyrobników i biedotę różną to już zmysły prawie odchodziły.

— Inne — myślał Fela — to choć tego ziemniaka ze sobą mają a ja?

A tu poretunku ni zlitowania znikąd, jako że i u innych nie lepiej było.

Roboty Fela nie miał żadnej, bo w polach o tym czasie cichość jeszcze panowała a cegielnia dworska, w której dawniej nieźle juści zarobił, stanęła, bo ktoby ta cegłę we wojnę kupował.

Żeby ino do nowych ziemniaków przebiedował, to później mu się przecie ulży, bo choć tę opałkę ziemniaków od ludzi litościwych dostanie.

Później zarobi przy żniwach, to przy kopaniu, to w lesie się ano pewnikiem robota przy sągach otworzy. Ale do nowych ziemniaków jeszcze ze dwie

niedziele a tu na kolację niema co do garnka włożyć.

Stanął na środku chałupy przerażony i ręce bezsilnie opuścił. Umrzeć mu przyjdzie z tej mordęgi...

— Do proboszcza pójdę abo co — pomyślał nagle — on przecie taki litościwy, tak się wszelaką biedotą opiekuje, że cheba i mnie pomocy nie odmówi...

— La Boga! — dziwił się — dyć dawnom to uczynić powinien!

Poskarży mu się, przedstawi nędzę i głód dzieci (bo mu ta o siebie już nie szło), prosił będzie gorąco o zmiłowanie i poretunek jaki.

— Pójdę! — wykrzyknął prawie, ogarnął się źdźiebko, zajrzał do śpiącego Jędrusia, bo ten jakoś nachorzał na bruszek i wyszedł. Najstarszej Józce przykazał, by od chałupy nikaj nie odchodziła i puścił się drogą ku plebanji.

Spojrzał po niebie błękitnem, po białych chmurkach z wiatrem baraszkujących, pomyślał o tem, że go też pewnie dobrodziej litościwy nie opuści i lżej mu się jakoś na sercu zrobiło.

Już był od kościoła o kilka stajonek, gdy Franek Wicalów dopędził go zdyszany.

— Fela! a kaj kołek macie abo kłonice, he? — wykrzyknął.

— Kołek? — zdziwił się Fela — dyć we dnie ide i wśród swoich to mi kołka nie trza.

— Hale! widły mogliście zabrać, abo cepy na tych heretyków!

Fela przystanął.

— Franek! dyć nie wiem, co chcesz mi rzec?

— O la Boga! To nie wiecie, że Miemce dzwony zabrać przyjechały? Proboszcza niema, to se rachują, że ukraść im się da. Ale wieś do tego nie dopuści!

— Proboszcza niema?... — jęknął Fela.

— Juści nie, do biskupa pono nagle wyjechał na dwa dni. Chodajcież prędzej!

Wicalka pobiegł raźno ku cmentarzowi a Fela powlókł się wolno, jakby źdźiebko ogłuszony.

Za chwilę dochodził do cmentarza.

Narodu zebrało się tu huk, bo ta robót większych o tym czasie nie mieli, więc się w mig zebrali, gdy im stary Adam, któren w kościele obsługiwał o przyjeździe Niemców doniósł.

Przybieżała prawie cała wieś, by do złodziejstwa prostego nie dopuścić. Chłopi jak ta któren był w chałupie, przybiegli i stali teraz w bramie cmentarnej nieustępliwie i zwarcie, kiej mur.

Przy samej zaś dzwonnicy kręciło się kilku opasłych Niemców o czerwonych i śklących pyskach, kieby sadłem wysmarowanych. Trzech jeździło na tęgich koniach i równało front gromady, bo chłopi z groźnym pomrukiem śmiało się ku dzwonnicy przysuwali. Baby po bokach jazgotały, kiej psy, gdy obcego w opłotkach poczują.

Dzwony stały już na ziemi kole wozu, bo nim przybiegli, Niemcy dzwony pospuszczali a teraz je próbowali z wysiłkiem na wóz wtoczyć po pochyło ustawionych drągach. Nie mogli ta jednak tego dokonać, bo dzwony choć nie były wielkie, jednak wagę swoją miały. Spocili się ogromnie, bo paśne juchy były, kiej te karmne wieprze, a i dzień czerwcowy upalny był i jakisi duszny choć słońce miało się już ku zachodowi.

Jeden z Niemców, widać starszy, któren się ta do roboty nie bardzo przykładał zaczął szwargotać coś do sołtysa bo ten po niemiecku potrafił, jako że przed wojną w Prusach na robotach bywał.

Sołtys wysłuchał, spojrzał frasobliwie po gromadzie i drapiąc się po łbie, podszedł do chłopów.

— Słuchajta no chłopy, co wama rzeknę. Ja tu nie z dobrej woli jeno z musu z pludrakami przyjechał. Kazały wama rzec, byśta do pomocy przyśli. Zapłacą juści...

Ale chłopi dokończyć mu nie dali, jeno zaczęli wyzywać a krzyczeć, że wrzask się podniósł ogromny.

— A niech se juchy robią same, aż im gnaty popękają!

— Złodzieje zapowietrzone!

— Heretyki przeklęte!

— Świńskie pomioty!

— Bić psubratów!! — krzyczał Jasiek Sulizka.

Chłopi zaczęli się przysuwać groźnie i za kołami się oglądać. Kilku parobków a między nimi Jasiek Sulizka wysunęło się śmiało, lecz Niemcy wnet końmi na nich najechali ostro. Jeden z nich trzasnął Sulizkę kańcem przez gębę, aże się chłopak krwią zalał.

Ci, co przy dzwonach stali, porwali za karabiny i groźnie zaczęli coś krzyczeć do chłopów.

Wtem Fela, który się naprzód przez gromadę przecisnął, do sołtysa podszedł.

— Ja wama pomogę, ale mi pieniądze Miemce naprzód muszą dać.

Sołtys zdziwionemi ślepiami popatrzał na Felę.

— Nie wiela ta jeden znaczy, no ale podzcie...

W gromadę jakby piorun strzelił. Języków w gębie pozapominali, pochylili karki, wybałuszając ślepia po sobie.

Wnet ich jednak wściekłość porwała na Felę. Jakże! dyć gromadzką jedność łamał, ręki do świętokradztwa przyłoży razem z temi heretykami. I to swój to robi, swój z własnej parafji!

Baby pyski już otwarły i pomstować strasznie zaczęły na Felę.

Niemcy zaś razem z sołtysem i Felą oraz z temi, co na koniach stali, dzwony próbowali na wóz wtoczyć.

— Juści nie poredzimy, bo broń mają a my co? Z gołemi rękami na kulki nie polecisz — seplenił do chłopów stary Gawron a oni go pilnie słuchali.

Chłopi coś bąkali przez zaciśnięte zęby i z boku na Niemców i Felę błyskali ślepiami.

— Ale tego powietrznika pokarać trza. Na chlebie naszym żyje a heretykom pomaga — szeptał Gawron do chłopów a oni uszu nadstawiali w palce trzaskając z wściekłości. Gadał im cosi jeszcze, bo stary wśród gromady posłuch miał, jako że siwy był, kiej gołąb i z młodu kajsi aże na Syberji bywał.

Cichość zapanowała na cmentarzu, że jeno słychać było sapanie Niemców, którym się wreszcie dzwony udało na wozie umieścić, a tera latali raźno kole wozu, szykując się do odjazdu, bo słońce ziemi się już tykało.

Wreszcie wyjechali obrzucani wyzwiskami i pacynami błota przez baby i dzieci z za opłotków.

Chłopi byliby się rzucili na nich kiej wilki, ale Niemcy z karabinami do nich zwróconemi odjeżdżali raźno. Polecą to na kulki z gołemi rękami?

A Fela stał pod dzwonnicą zdyszany i papierek rublowy w ręku ściskał. Jezu! całego rubla mi dali! Choć złodziejskie to syny, te Niemce, ale mu przecie dać musieli; bo się dobrowolnie podał i sam jeden z całej wsi. Nie wiela ta to teraz znaczyło, bo ruskie pieniądze jakoś podupadły, ale zawdy coś. Kupi zaraz u pachciarza chleba i kaszy a może mu

co i na machorkę ostanie. Dzieciska się najedzą, aby raz dosyta!

Uradowany skierował się raźno ku bramie, gdy wtem stanął przelękniony.

Krok od siebie ujrzał wściekłe, rozedrgane twarze chłopów, błyski ślepiów i zaciśnięte pięści. Stary Gawron wnet wysunął się naprzód.

— Te! Fela! to ty jucho naród zdradzasz, ze złodziejami się łączysz?

Fela chciał się cofnąć, ale mu nogi w kolanach skołczały. Chciał coś mówić, lecz się zająkał a w tejże samej chwili huknął go któryś z przekleństwem w łeb, że Fela jęknął „Jezu!" lecz Maryja nie zdążył już wymówić, bo las rąk wyciągnął się ku niemu i opadł na całe ciało. Prali go, dysząc wściekle, bo cała złość, która im dotąd wnętrzności zalewała, wyładowała się teraz.

Fela w jednej chwili we krwi stanął i byłby dawno już padł na ziemię, lecz ktoś go za kołnierz trzymał a inni walili pięściami kiej cepami po snopach. Stary Gawron stał na boku i ponurym wzrokiem patrzał na krwawy sąd gromady.

— Chłopy! — będzie miał dosyć — wyseplenił, podchodząc do nich.

Wraz go też ciepnęli na ziemię kiej psie ścierwo a kilku z nich kopnęło go nienawistnie. Na ziemi nie lażał już Fela jeno kawał krwawej masy.

Stary Gawron podszedł bliżej i rękę nad trupa podniósł.

— Żeś gromadzką jedność złamał, żeś ręki do świętokradztwa przyłożył, żeś się z Miemcami łączył — sprawiedliwie ci!

— Sprawiedliwie!!! — krzyknęli ponuro chłopi aże echo po cmentarzu poszło i skonało kajś w kościele.

Władysław Wojtasik.



Poradnik gospodarczy.

Wczesna kapusta.

Pod uprawę kapusty wczesnej ogrodnicy w warunkach podmiejskich przeznaczają znaczne powierzchnie, gdyż producent ma na celu otrzymanie zyskownego wczesnego plonu, który w końcu czerwca lub w pierwszych dniach lipca dostarcza na rynki najbliższych miast i miasteczek. W każdym gospodarstwie wczesna kapusta na domowy użytek w porze letniej, bardzoby się również przydała. Każdy więc gospodarz trochę wczesnej kapusty uprawiać powinien. Wyhodowanie kapusty wczesnej jest oczywiście połączone z wyhodowaniem jak najwcześniej rozsady tak, że zwykle po rozmarznięciu i ogrzaniu roli w pierwszej połowie kwietnia kapusta z rozsady bywa już wysadzona do gruntu.

Do utrzymania wczesnej rozsady niezbędny jest półciepły inspekt, założony na końskim nawozie pomieszanym z liśćmi, o czem pisaliśmy w poprzednim numerze „Roli". W razie braku inspektu półciepłego, można posługiwać się inspektem zimnym. Siew kapusty wczesnej do inspektu wykonać trzeba w lutym lub marcu. Po wzejściu, gdy wyrasta pierwszy listek kapusty, pikujemy co 2 cale jedną roślinkę od drugiej, do świeżo przygotowanych skrzyń. Kapustę przepikowaną w inspekcie w czasie dnia należy dobrze wietrzyć, regulując tym sposobem temperaturę i wilgotność powietrza w inspekcie. W tym celu okna inspektowe w czasie dnia kilkakrotnie unosimy na krótko i zamykamy, o ile temperatura jest niska; w miarę wzrostu temperatury powietrza okna coraz dłużej pozostawiamy otwarte, opierając je na specjalnych do tego celu podporkach (wietrznikach). Rozsada w inspekcie słabo wietrzonym bywa opanowywana przez „czarną nóżkę". Jest to choroba grzybkowego pochodzenia, niszczy łodyżkę nad samą ziemią. W razie wystąpienia czarnej nóżi, należy silnie wietrzyć inspekt, a roślinki przesadzić na świeżą ziemię cokolwiek głębiej — po pierwsze liście. Rozsadę kapusty pod oknami w inspekcie w lutym i marcu nakrywa się na noc matami. Jest to zabieg niezbędny w celu trzymania równomiernej temperatury oraz ochrona przeciwko zmrożeniu rozsady. Przed wysadzeniem do gruntu, należy rozsadę zahartować i przyzwyczaić do zewnętrznego otoczenia, pozostawiając okna nieokryte na noc matami, a następnie stopniowo okna wznosić coraz wyżej i pozostawiać je na całą noc otworem. Po kilku dniach zdejmujemy okna, pozostawiając rozsadę w skrzyniach bez ochrony na pełne działanie czynników zewnętrznych.

W inspekcie, w miarę możności rozsadę podlewamy letnią wodą w godzinach południowych.

W braku inspektów, można otrzymać rozsadę kapusty na rozsadniku. Pod rozsadnik przeznacza się kawałek ziemi ciepły, osłonięty, z dobrą wystawą słoneczną, uprawiony i zasilony w jesieni nawozem rozłożonym. Ziemię na rozsadniku należy na zimę przykryć liśćmi, by nie zmarzła. Wcześnie na wiosnę w drugiej połowie marca usuwa się liście, ziemię, w tym celu wzdłuż zagonów nabić niskie kołki, na których przybija się łaty, w ten sposób mamy na czem maty opierać.

Nie należy zapomnieć o podlewaniu rozsadnika. Czynność tę wykonujemy wieczorem, używając wody ogrzanej i wystałej w kadzi na słońcu.

Z odmian kapusty uprawianych na wczesne i na zwyczajne, które są bardzo pokupne, są „Charleston", „Premium Flat Dutch" i inne, nowomodna „chińska czyli Petsai" jest dobra i droga. Kto chce tylko dla swojego użytku mieć smaczną to „Savoy" jest nadzwyczaj smaczna i delikatna, lecz nie przechowuje się tak dobrze jak inne, dlatego nie nadaje się do wysyłki lub na sprzedaż w składach, gdzie przechowana być musi.

W jaki sposób należy pielęgnować kapustę w polu, pomówimy w następnym numerze „Roli".

Poradnik lekarski.

Kurczowy ból karku. Leczenie: Gorące okłady szyi, albo gorący szal, zmieniany, gdy ostygnie przez 3 do 4 godzin. Trzy razy dziennie obmywać się, a po każdem obmyciu wdziać koszulę, zmaczaną w odwarze siana i położyć się do łóżka. Pić herbatkę z srebrnika pospolitego z początku całą filiżankę, później co godzinę łyżkę.

KRONIKA.

Z sejmu. W ostatnich tygodniach praca naszego Sejmu skupiała się w komisji budżetowej. Jakkolwiek posłowie opozycyjni ostygli już nieco w swem usposobieniu przeciw rządowi, to jednak temu lub owemu ministrowi skreślają fundusze, które są niezbędne dla utrzymania powagi i bezpieczeństwa Polski. I tak w budżecie ministerstwa spraw wojskowych skreślono 3 miljony przeznaczone na walkę ze szpiegostwem, podobną kwotę skreślono w budżecie ministerstwa spraw wewnętrznych, przeznaczonych na utrzymanie ładu w kraju, również w budżecie ministerstwa spraw zagranicznych obcięto znacznie wydatki na propagandę naszą za granicą. Największe zaognienie wywołała sprawa Kas chorych. Jak wiadomo, minister pracy i opieki społecznej w tych Kasach, gdzie była gospodarka zła, pousuwał dotychczasowe zarządy, a zamianował komisarzy, którzy w Kasach tych zaprowadzają porządek. Dotknęło to bardzo socjalistów, atakują więc ostro ministra pracy i starają się go usunąć. Czy im się to uda, nie wiadomo, gdyż wątpić należy, aby ich stronnictwa chłopskie chciały w tym kierunku popierać.

Emigracja do Kanady. Państwowe Urzędy pośrednictwa pracy rozpoczęły od 25 stycznia rejestrowanie i kwalifikowanie robotników rolnych i służących na wyjazd do Kanady. Pierwszeństwo w kontyngencie przyznane będzie emigrantom, posiadającym paszporty z roku zeszłego, względnie już poprzednio zakwalifikowanym Zgłoszony obecnie przez kanadyjskie towarzystwo kolejowe kontyngent obejmuje 2.460 robotników rolnych i 1.000 służących. Kto chce więc wyjechać do pracy do Kanady, powinien zgłosić się we właściwym Urzędzie pośrednictwa pracy, a tam otrzyma pod tym względem bliższe wskazówki.

Obrabowanie strażników leśnych. Onegdaj po południu w lesie p. Stanisława Komorowskiego w Bojanowie, pow. Nisko, czterech uzbrojonych w karabiny i zamaskowanych bandytów napadło na powracających z lasu strażników leśnych Piotra Parelę, Wojciecha Szpylę i kasjera Franciszka Pistora. Bandyci po steroryzowaniu zrabowali im 750 zł., uzyskanych ze sprzedaży drzewa, oraz 3 zegarki kieszonkowe i 3 papierośnice, poczem zbiegli.

Napad wilków pod Stanisławowem. Mimo słabych stosunkowo mrozów zdarzył się w okolicy Stanisławowa niecodzienny wypadek Oto w jasny dzień popołudniu wpadła gromada wilków do wsi Bratkowce. Bestje były widocznie głodne, bo szukały pożywienia. Śmiałość zgłodniałych zwierząt była tak wielką, że mimo krzyku mieszkańców wpadły wilki do obejścia tamtejszego gospodarza Jana Drozdzaniuka, a porwawszy znajdującego się na podwórzu wieprzka, zbiegły do lasu.

Napad bandycki w Królewskiej Hucie. Niezwykle śmiałego napadu rabunkowego dokonało dwóch młodych bandytów, uzbrojonych w rewolwery, na biura hurtowni drzewa kopalnianego A. Seitz w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku. Po steroryzowaniu pracujących tam panien bandyci splondrowali wszystkie skrytki, zabierając całą gotówkę firmy i około 200 złotych będących własnością urzędniczek, poczem zbiegli w niewiadomym kierunku. Jak dotychczas, złodziejaszków nie ujęto.

Zuchwały mord i rabunek. W ubiegłym tygodniu dokonano w Królewskiej Hucie na Górnym Śląsku zuchwałego mordu rabunkowego na osobie właściciela śląskiego Związku kredytowego, Dancigera. Mordu dokonało dwóch, dotychczas niewykrytych sprawców, którzy dali do Dancigera ośm strzałów rewolwerowych. Zbrodnia miała miejsce w mieszkaniu zabitego. Zbójcy czekali na schodach, po których wracać miał Danciger i zgasili światło. Po dokonaniu mordu zrabowali teczkę, zawierającą 50 tysięcy gotówką, którą zmarły niósł do domu, i zbiegli. Zbrodniarzy pomimo usiłowań policji dotychczas nie ujęto.

Udaremniony plan zamachu. Trzech złodziejaszków warszawskich, dowiedziawszy się, że w Banku Polskim w Częstochowie znajduje się większa gotówka, postanowiło sobie ją przywłaszczyć. W tym celu wynajęli puste mieszkanie, sąsiadujące z Bankiem i poczęli wiercić dziurę w ścianie. Robota posunęła się dość daleko i wszystko było przygotowane do rabunku. Policja nie wiedziała oczywiście nic o tem, ale przypadek przyszedł jej z pomocą. Dowiedziano się, że w Warszawie u Kazimiery Kozłowskiej jacyś podejrzani mężczyźni prowadzą tajemne narady. Aresztowano ich. Przy rewizji znalazła policja u jednego z nich jakieś podejrzane plany. Plany te zaczęto badać i przekonano się, że są one planami Banku Polskiego w Częstochowie. Udano się więc do Częstochowy i tam stwierdzono przygotowania do obrabowania Banku. Przyciśnięci do muru złodzieje przyznali się do wszystkiego, twierdząc z żalem, że same przygotowania kosztowały ich dotychczas już 30 tysięcy złotych, których oczywiście nikt im nie zwróci. W Banku znajdowało się wówczas 30 miljonów złotych. I tak wskutek interwencji policji będzie w Polsce o kilku miljonerów mniej.

Wypędzanie djabła. Pomimo tylu szkół, tylu książek i gazet, pomimo olbrzymiej pracy głupota ludzka jeszcze nie wygasła zupełnie. I jeszcze mniej dziwić się można, jeżeli w jakieś średniowieczne rzeczy wierzy gdzieś tam chłopek w zapadłej wiosce, ale gdy czyni to inteligent, a jeszcze osoba duchowna, to rzeczy tej wytłomaczyć sobie nie można. O takim nieprawdopodobnym fakcie donoszą z Wilna. Oto w tamtejszym prawosławnym klasztorze św. Trójcy przed kilku dniami zdarzył się następujący wypadek: Do cerkwi przyprowadzono 10 letnią dziewczynę „opętaną od djabła". Tamtejszy pop zamiast skierować chorą do lekarza, począł z niej tego djabła wypędzać. Kilka osób trzymało wijącą się i wyrywającą z rąk ofiarę, a pop, ubrany w szaty kościelne, odprawiał modły i wzywał djabła, aby opuścił nieszczęśliwą. Ale „djabeł" nic sobie z tego nie robił, choć cała ta ceremonja trwała 48 godzin bez przerwy. Wkońcu wmieszała się w to policja i oddała dziecko do zakładu obłąkanych.

„Gdzie djabeł nie może..." W Warszawie przez dłuższy czas grasował bezkarnie rzezimieszek nazwiskiem Klimczak. Policja starała się go za wszelką cenę ująć, ale bezskutecznie. Klimczaka znudziło jednak ciągłe uchodzenie przed swemi prześladowcami, przeniósł się więc do Łodzi. Ale i tu policja nie dała mu spokoju, aż wreszcie dopadła go w mieszkaniu, przez niego zajmowanem. Z rewolwerami weszło do pokoju czterech policjantów. Na widok policji Klimczak nie stracił jednak przytomności umysłu. Jednem uderzeniem ręki rozbił lampę, oświetlającą pokój, poczem wybił szybę w oknie i wyskoczył z pierwszego piętra na ulicę. Nim policjanci zbiegli za nim, Klimczak był już daleko. Niepowodzenie mężczyzn postanowiła naprawić wywiadowczyni, działająca na terenie Łodzi pod nazwiskiem „Hala". Węszyła czas dłuższy za Klimczakiem, aż wreszcie udało jej się go wyśledzić. Spotkali się raz i drugi. „Hala" udawała taką, co to niby chce, a boi się. Wreszcie dała się pozornie nakłonić i udała się z Klimczakiem do jednego z łódzkich hoteli. Nie trzeba dodawać, że policja była o wszystkiem uprzedzona. Zaledwie tylko wywiadowczyni z Klimczakiem weszła do jednego z przy

tulnych pokoików, w drzwiach stanęło pięciu policjantów z rewolwerami w ręku. Klimczak zgłupiał, a „Hala“ udawała zażenowaną panienkę, której nie udał się interes. Klimczak w obronie przygodnej bogdanki rzucił się na policjantów z butelką w ręce, ale ci szybko ubezwładnili go, a przebiegła towarzyszka sama założyła mu kajdanki na ręce. „Brawo Hala! udało się!“ powiedzieli wywiadowcy i zabrali Klimczaka na długi odpoczynek po trudach życiowych.

Zbrodnia w pociągu. Tajemniczy wypadek zaszedł w pociągu, idącym z Warszawy do Stołbców. Gdy pociąg ten zatrzymał się, jak zwykle, w Wołominie, nagle z jednego z przedziałów drugiej klasy rozległy się głośne krzyki. Na alarm nadbiegła policja, która w przedziale tym znalazła nieruchomo leżące ciało jakiegoś mężczyzny. Wezwany lekarz stwierdził śmierć pasażera. Wreszcie dochodzenia stwierdziły, że jest to 50 letni Bolesław Ciszanko, właściciel majątku Dobrzynie Małe w powiecie mińsko-mazowieckim. Jechał on na Kresy w celu kupienia dużej posiadłości ziemskiej i miał przy sobie większą sumę pieniędzy. Pasażerowie, którzy razem z nim jechali, twierdzą, że widzieli jakichś podejrzanych osobników, kręcących się koło Ciszanki. Według ich słów, ci osobnicy otruli Ciszankę i zrabowali mu wszystkie pieniądze. Przypuszczenie to potwierdza fakt, że pieniędzy przy zmarłym nie znaleziono.

Walka chłopca z bandytami. Na leśniczówkę w Osieku w czasie nieobecności leśniczego przybyło dwóch podejrzanych mężczyzn, twierdząc, że mają interes do leśniczego. Służąca, przeczuwając, że są to bandyci, zatrzasnęła przed nimi drzwi. Bandyci usiłowali wówczas wyważyć drzwi, a gdy się im to nie udało, stłukli okno i tą drogą zamierzali wedrzeć się do wnętrza. W mieszkaniu był jednak 15-letni pomocnik leśniczego, Józef Jarmuż, który, zobaczywszy co się święci, zdjął ze ściany karabin i oddał w stronę napastników kilka strzałów. Bandyci cofnęli się, lecz po upływie kilkunastu minut wrócili w towarzystwie czterech dalszych bandytów, uzbrojonych w siekiery i zabrali się raźno do rozwalania drzwi wejściowych. Jarmuż i tym razem nie stracił odwagi, lecz wychylił się z okna i oddał w stronę bandytów szereg strzałów. W tym czasie nadjechał leśniczy, na którego widok bandyci zniknęli w lesie.

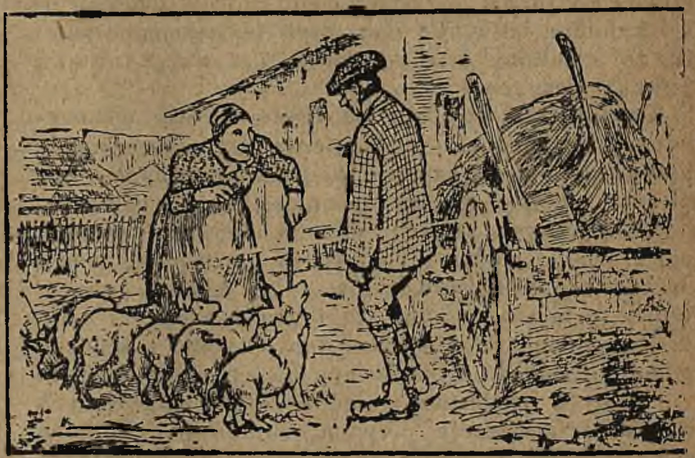
Niefortunny występ posłów komunistycznych. W Wilnie odbywała się rejestracja bezrobotnych. Skorzystali z tego dwaj posłowie komunistyczni, Dworczanin i Grecki i zaczęli wygłaszać do zgromadzonych przemówienia antypaństwowe. Gdy słuchacze poznali, z kim mają do czynienia, poczęli wołać: „Precz z nimi! Do Rosji z nimi!“ Na niefortunnych posłów posypało się błoto, przyczem poturbowano ich nieco. Dopiero pod osłoną policji mogli opuścić miasto, które nie chce słuchać burzycielskich mów płatnych sługusów sowieckich.

Zmęczony złodziej. Praca złodziejska nie jest tak łatwa, jakby się napozór zdawało. I złodziej na hańbę rodu ludzkiego jest także człowiekiem, a więc pracując, także się zmęczyć może, jak i tylu innych uczciwych ludzi. Taki wypadek zaszedł przed kilku dniami. Do pałacu właściciela majątku w Turzynie, na Pomorzu, wkradł się złodziej, który porozbijawszy szafy, spakował sobie wartościowe przedmioty. Ale pracą tą tak się zmęczył, że gdy wszedł do sypialni i zobaczył przytulne łóżeczko, zapragnął zasłużonego odpoczynku. Rozebrał się więc i ułożył najspokojniej w łóżku do snu. Nad ranem służba przychwyciła śpiącego złodzieja i oddała go na dalszy odpoczynek w ręce policji.

Ofiara głupoty. Niezwykły wypadek wydarzył się w Grodźcu. Zamieszkała tam niejaka Anna Cieślakowa powiesiła się. Do mieszkania samobójczyni zbiegli się tłumnie sąsiedzi i poczęli wyrywać sobie sznurek, na którym Cieślakowa się powiesiła. W chwili, gdy sąsiedzi, nie zważając na obecność świeżych jeszcze zwłok, walczyli ze sobą o sznurek, do mieszkania wszedł policjant. Najbardziej domagał się sznurka niejaki Minkowski, mający sparalizowany kręgosłup, dowodząc, że posiadanie sznurka uzdrowi go. Szamocąc się w tłumie, paralityk przewrócił się, doznał pęknięcia kręgosłupa i wkrótce zmarł. Głupia wiara w jakieś cudowne moce wisielczego sznurka była przyczyną śmierci nieszczęśliwego człowieka.

Plaga dzików na Kresach. Zima tegoroczna sprawia same niespodzianki. Oprócz plagi wilków na Kresach, na pograniczu litewskiem, pojawiło się moc dzików, które stadami, liczącemi po kilkadziesiąt sztuk, podchodzą do zagród i czynią spustoszenia w kopcach z ziemniakami. Dziki rozzuchwalają się do tego stopnia, że w pobliżu wsi Romaniuki napadły na żołnierza z korpusu ochrony pogranicza, który dopiero po zastrzeleniu trzech sztuk uwolnił się od napastników.

Zazdrosne świnki. Ciekawą przygodę miał niedawno pewien turysta w południowym Lesie Czeskim. Podczas wycieczki przybył on do jakiejś zagrody i prosił gospodynię o posiłek. Gospodyni poczęstowała go miską mleka, które turysta z przyjemnością począł pić, gdy wtem okrążyło go kilka prosiąt, które żałośnie kwiczały.



Gość, nie znając powodu sympatji, którą go świnki obdarzały, zwrócił się do gospodyni o wyjaśnienie. Gospodyni wytłomaczyła mu, że świnki są zazdrosne, ponieważ on pije z ich miski. Gość, dowiedziawszy się o tem, momentalnie stracił apetyt i resztę mleka zostawił już owym świnkom.

Dzieciobójczyni z menażerji cyrkowej. Wiedeńczycy mieli przed kilku dniami niezwykłą atrakcję. W menażerji cyrku, który tam przed kilku tygodniami rozbił swe namioty, powiła jedna z niedźwiedzic dwoje małych niedźwiadków. Przez dwa dni była niedźwiedzica przedmiotem podziwu i zachwytu Wiedeńczyków, którzy cały dzień tłumnie nawiedzali menażerję cyrkową, zanosząc dla młodej mamusi smakołyki i z właściwą Wiedeńczykom dobrodusznością przyglądali się pieszczotkom matki ze swemi nowonarodzonemi bliźniaczkami. Radość nie trwała jednak długo. Po dwóch dniach znaleziono w klatce jedynie samą niedźwiedzicę, która w nocy pożarła swe dzieci. Jak twierdzą fachowcy, dzikie zwierzęta, trzymane w klatce, przeważnie zjadają swe młode. Niedźwiedzica z cyrku wiedeńskiego tego samego dnia brała udział w przedstawieniu cyr-

kowem, nie okazując bynajmniej żadnych wyrzutów sumienia.

Wierny pies. Z Maserboden w Tyrolu donoszą o wzruszającym dowodzie wierności psa owczarka. Oto przed kilku dniami gwałtowna lawina śnieżna porwała tam idącego ścieżką górską w towarzystwie swego owczarka montera elektrowni Tomasza Roetingera. Pies uniknął szczęśliwie lawiny, a widząc, że jego pan zniknął pod śniegiem, odszukał miejsce katastrofy i zaczął pana odgrzebywać. Widząc jednak, że jego psie wysiłki są bezowocne, głośnem wyciem i szczekaniem jął wzywać pomocy, co wreszcie zwróciło uwagę mieszkańców Maserbodenu. Pospieszyli więc na miejsce katastrofy i dobyli z pod śniegu żywego jeszcze Roetingera. Pies ocalił mu życie.

Dzieci porwane przez cyganów. W Neusalz nad Odrą, na Śląsku niemieckim, zrewidowano bandę koczujących cyganów i aresztowano kilku członków tej bandy ze popełnione w okolicy kradzieże. Podczas rewizji okazało się, że wśród bandy znajdowało się dwoje dzieci, uprowadzonych przez cyganów z Poznania, a mianowicie dziewięcioletnia dziewczynka i sześcioletni chłopczyk. Dzieci odebrano cyganom i odesłano je do rodziców, którzy mieli już swe maleństwa za stracone.

„Świńskie państwo“. Przed sądem przysięgłych w Wystruciu, w Prusach Wschodnich, odbył się proces przeciw kapitanowi niemieckiemu, który został oskarżony, że republikę niemiecką nazwał świńskiem państwem. Powodem do takiego nazwania była odmowa udzielenia mu pożyczki przez rząd niemiecki na poprawę gospodarstwa. Sędziowie przysięgli jednogłośnie uwolnili owego kapitana od winy i kary, czyli temsamem potwierdzili, że oskarżony miał słuszność, nazywając tak swą niemiecką ojczyznę.

Tajemnicza kobieta na czele bandy włamywaczy. Od kilku miesięcy żyje Berlin pod terorem bandy włamywaczy, która grasuje po sklepach bławatnych. Przewódcą tej bandy jest jakaś tajemnicza kobieta, co stwierdzono po licznych śladach stóp na miejscach zbrodni. Długi czas nie można było wpaść na trop tej bandy, aż wreszcie policja zwróciła uwagę na jednem z przedmieść na potajemny handel zbytkowych materji i bielizny. Przekonano się, że towar ten pochodzi z kradzieży. Idąc za śladami, aresztowano dwóch członków bandy, u których znaleziono wielkie składy skradzionych towarów. Włamywacze przyznali się do popełnionych kradzieży, jednakże energicznie odmawiają wymienienia, kim jest ich przywódczyni. Tyle tylko wydobyć z nich zdołano, że wyrażają się o niej z wielkim szacunkiem jakby o swojej „królowej“.

Zaręczyny rumuńskiej księżniczki z księciem śląskim. Donoszą z Bukaresztu, że w zamku królewskim w Sinaja, w Rumunji, odbyły się zaręczyny księżniczki Ileany z Aleksandrem hr. Hochberg, drugim synem księcia na Pszczynie. Księżniczka Ileana, 21 letnia najmłodsza córka zmarłego króla Ferdynanda, jest uważana za jedną z najpiękniejszych księżniczek w Europie. Narzeczony jej jest synem znanego magnata śląskiego, który rości sobie pretensje do pochodzenia z Piastów. Liczy lat 25 i jest wyznania katolickiego, jakkolwiek cała rodzina książąt na Pszczynie wyznaje religję protestancką.

Trzysta lat kryminału. O ciekawym wyroku donoszą z Bukaresztu, stolicy Rumunji. Oto pewien kupiec został tam skazany za przemytnictwo na 4 i pół miljona lei. Ponieważ nie chciał on zapłacić tej kary, przeto zamieniono mu ją na areszt w stosunku 50 lei za jeden dzień więzienia. Gdyby skazaniec chciał odsiedzieć ową karę, musiałby przebywać 90 tysięcy dni w kryminale, czyli blisko 300 lat.

Samobójstwo z tęsknoty za krajem. Z Nowego Jorku donoszą, że popełnił tam z tęsknoty za krajem samobójstwo Polak, artysta malarz, Jakób Bałuszyński. Zarabiał on przy rozbiórce domów jako zwykły robotnik, ale zarobki jego były tak marne, że nie mógł odłożyć na tyle, aby sprowadzić do Ameryki swą żonę, która została wraz z dziećmi w Ojczyźnie. Zrozpaczony nie mógł opanować tęsknoty za krajem, stanął więc na krześle, założył pętlę sznura na szyję i strzelił sobie w głowę.

Niesamowita kobieta. Uwagę policji w Chicago, w Ameryce, zaprząta obecnie tajemnicza afera mordercza. Ośrodkiem tej sprawy jest cudownie piękna pani Jeffie Lafferty. Liczy ona 29 lat, jest córką skromnego kupca. Pani Jeffie już jako kilkunastoletnia dziewczynka uciekła z domu rodzicielskiego i została akrobatką w pewnym cyrku, z którym przez kilka lat wędrowała po miastach amerykańskich. Gdy znudziła się cyrkiem, zamieszkała w Chicago, gdzie poślubiła bogatego człowieka nazwiskiem George Lafferty. Ale urocza Jeffie niedługo została przy nim; uciekła z pewnym bokserem, nazwiskiem Shupe. Lafferty zaskarżył boksera o uprowadzenie żony. Dochodzenia były jeszcze w toku, gdy Lafferty został niespodziewanie zastrzelony. Mordercy policja nie zdołała odnaleźć. I Shupe nie zatrzymał długo przy sobie kapryśnej kobiety, która upodobała sobie niejakiego Toma Nicola. Nicolowi nie przyniosła ona również szczęścia. W dwa tygodnie został on zabity, a policja i tym razem nie odnalazła mordercy. Jeffie nie płakała długo po Nicolu i pozwoliła się pocieszyć kupcowi, nazwiskiem Bowmann. W trzy miesiące później znaleziono jego zwłoki w dzielnicy chińskiej. Nieznany zbrodniarz zastrzelił go, a wszelkie usiłowania policji, aby schwytać, spełzły na niczem. Policja teraz zwróciła baczniejszą uwagę na panią Jeffie. przypuszczając, że umaczała ona palce w powyższych morderstwach. Niebawem nastąpiły nowe fakty. Pani Lafferty pogodziła się z dawnym kochankiem Shupem i sprowadziła się do jego mieszkania. W sześć tygodni później padł on ofiarą tajemniczego morderstwa, a zbrodniarz znowu wymknął się z rąk sprawiedliwości. Także następnego kochanka pięknej kobiety spotkał podobny los. Znaleziono go w jego mieszkaniu zatrutego gazem świetlnym. Stan jego świadczył, że przedtem został on ogłuszony ciosem pięścią w skroń. Niesamowita ta afera tonie narazie w mroku tajemnicy. Pani Lafferty nie można narazie nic zarzucić, choć nie ulega wątpliwości, że nie jest ona tu bez winy.

Pożarci przez rekiny. Jak donoszą angielskie gazety z Capstadu, w kolonji angielskiej wyspy Mauritio (na wschód od Madagaskaru), w pobliżu głównego miasta St. Louis, w porcie tamtejszym sześć osób, odpłynąwszy kilkadziesiąt metrów od brzegu na łódce motorowej, zajętych było połowem licznych w tych stronach rekinów. Połów był dosyć pomyślny. Kiedy już rybacy mieli wracać ku brzegowi, powstał nagle silny wiatr, który przewrócił łódkę, a wszystkie siedzące w niej osoby wpadły do morza. Tylko jeden z poławiaczy zdołał bez przeszkody dopłynąć do brzegu. Pięć osób pożarły rekiny, nie pozostawiwszy z nich ani śladu.

Dżuma w Oranji. W republice burskiej Oranja w południowej Afryce wybuchła dżuma. Dotychczas zanotowano 33 wypadki, choroba zatacza coraz szersze kręgi i pochłania coraz to nowe ofiary. Dotychczas zmarło 22 osoby po kilkodniowej zaledwie chorobie. Cała ludność, zwłaszcza afrykańska, jest bardzo zaniepokojona. Wszelka akcja lekarzy, zmierzająca do opanowania choroby, okazała się, jak dotychczas, bezskuteczna.

RZECZY CIEKAWE.

Miljonowe miasta na świecie.

Posiadamy w ogólności 27 miast, z których każde liczy conajmniej miljon mieszkańców. We wszystkich tych miastach razem żyje 22.5 miljonów ludzi. Z tych 27 miast przypada 5 na Stany Zjednoczone (Nowy Jork, Chicago, Filadelfja, Detroit i Los Angelos), 3 na Anglję (Londyn, Glasgow, i Birmingham, 3 na Chiny (Hankau, Kanton i Pekin), 2 Niemcy (Berlin, Hamburg), 2 na Rosję (Moskwa i Leningrad), 2 na Japonję (Tokio, Osaka), 2 na Indje (Kalkuta i Bombay), a pojednem na Austrję, Węgry, Francję, Argentynę, Brazylję, Polskę (Warszawa), Turcję (Konstantynopol) i Australję (Sydney).

Największem miastem świata jent Londyn, który już w roku 1807 posiadał 900.000 mieszkańców. Obecnie posiada Londyn 7.6 miljonów mieszkańców, przewyższając nawet Nowy Jork z 7.4 miljonami mieszkańców. Nowy Jork zajmuje przestrzeń 850 kilometrów kwadratowych. Z każdego narodu świata żyje w Nowym Jorku najmniej 1000 osób. Na trzecim miejscu znajduje się Berlin, który wzrósł bardzo szybko. W roku 1800 posiadał 180.000 mieszkańców, obecnie liczy ich 4.25 miljonów. Berlin posiada największą rozpiętość pod względem przestrzeni. Na czwartem miejscu znajduje się Paryż, który liczy 3.9 miljonów mieszkańców, skupionych na ciasnej przestrzeni, tak, że 3.700 osób przypada na jeden kilometr kwadratowy.

Drugie największe miasto Ameryki Chicago (3.2 miljonów mieszkańców) słynne jest z tego, że w jego rzeźniach bije się rocznie 15 miljonów świń, 7 miljonów owiec, 5.2 miljonów bydła rogatego i 200.000 koni. Stolica Japonji Tokio liczy 2.4 miljonów mieszkańców, słynne z fabryk szkła miasto japońskie Osaka, liczy 2.1 miljonów mieszkańców, tę samą liczbę mieszkańców posiada najdłuższe miasto świata Filadelfja, które rozciąga się na przestrzeni 40 kilometrów, ponieważ posiada domy tylko na jedną rodzinę.

Poniżej dwóch miljonów mieszkańców posiadają Wiedeń, Buenos Aires (1.9 miljonów) i Moskwa, — słynna z swoich 527 kościołów, która przewyższyła Leningrad liczbą 1.8 miljonów mieszkańców.

Ilość mieszkańców spadła w Hankau z 3 miljonów na 1.7 miljonów. Pekin liczy tylko 1.6 miljonów chociaż powinien być największem dzisiaj miastem po tylu wiekach istnienia. Istniał już bowiem w roku 1121 przed Chrystusem.

Ponad 1 miljon mieszkańców liczą: Kalkuta, Bombay. Konstantynopol (1.3 milj.), Rio de Janeiro, stolica eksportu kawy, której wywozi rocznie 4.8 miljonów cetnarów.

Drugie największe w Anglji miasto, Glasgow, liczy 1.2 miljonów mieszkańców. Równie wielkie jest Detroit, które w roku 1830 posiadało tylko 2.222 mieszkańców. Co trzeci mieszkaniec tego miasta zajęty jest w fabrykach „króla samochodowego“ Forda. Leningrad, który posiadał jeszcze w roku 1910 prawie 1.5 miljonów mieszkańców, liczy ich dzisiaj ledwie 1.2 miljonów.

Niezwykle szybki jest rozwój Los Angelos w Kalifornji. Jeszcze w roku 1870 miasto posiadało 5.000 mieszkańców, dzisiaj dorównuje niemal ilości miasta Detroit. Dokładnie jeden miljon mieszkańców liczy Kanton w Chinach, którego świątynie zbudowane zostały w czasach przed-Chrystusowych. Warszawa w Polsce, która wzrasta liczebnie niemal z każdym dniem, Sydney w Australji, liczące jeszcze w roku 1800 tylko 2.600 mieszkańców i Birmingham, w którem każdy dom zawiera tylko jedną, pięcioosobową rodzinę.

Szybko wzrastają następujące miasta: Liverpool (Anglja), Neapol (Włochy), Melbourne, Rzym, Madryt, Barcelona, Manchester (Anglja). Miljonowemi miastami były: Rzym, który w czasach Plinjusza młodszego liczył 2 miljony mieszkańców, Neapol, który za czasów Chrystusa liczył półtora miljona mieszkańców, Ateny, które w roku 404 przed Chrystusem posiadały miljon mieszkańców i Kartagina, które jednak później kurczyły się powoli ilościowo.

Najcięższy gaz.

Najcięższym gazem na świecie jest nowoodkryty gaz, powstający dokoła gwiazdy Syriusa. Jest on np. 2.600 razy gęstszy od platyny. Pudełko od zapałek, wypełnione tym gazem miałoby niesłychany ciężar, gdyż ważyłoby 1.000 kilogramów.

Najsamotniejsza wyspa.

Na zachód od najbardziej na północ wysuniętego punktu wschodniej Syberji leży wyspa Wrangla. Była ona dotychczas zupełnie niezamieszkana. Przed trzema laty przybyła na tę wyspę mała kolonja Samojedów, którą Sowiety zaopatrzyły w środki żywności na trzy lata. Obecnie skończył się ten okres trzechletni, a na wyspę Wrangla przybył rosyjski łamacz lodów „Litke“, który przywiózł kolonistom nowe środki żywności.

Prasa rosyjska przynosi niezwykle ciekawe opisy z tej najsamotniejszej, bo zupełnie od świata odciętej wyspy. Gdy rosyjski łamacz lodów zarzucił kotwicę, wypłynęła mu naprzeciw łódź, sporządzona ze skór wielorybich, a w niej siedzieli trzej Samojedzi, których twarze były zupełnie tatuowane. Na tej to łodzi dostano się na ląd, gdzie zgromadzona już była cała kolonja, składająca się z 70 głów.

Jedynem zajęciem kolonistów jest polowanie. U Samojedów ma prawo do upolowanej zwierzyny nie ten, kto ją zabił, lecz ten, kto ją po raz pierwszy zauważył. Gdy się upoluje zwierza, zaczynają się wielkie uroczystości. Przed upolowanym białym niedźwiedziem kładzie się skórę reniferów, a na niej rozmaite kosztowności, jak herbatę, cukier i tytoń. Potem rozdziela się zdobycz i zaczyna się uroczystości, połączone z ucztą, które trwają przez kilka dni.

Samojedzi są bardzo zabobonni. Gdy myśliwy ujrzy wieloryba z otwartą paszczęką, natychmiast ucieka do namiotu, gdyż oznacza to wielkie nieszczęście.

Najlepszym myśliwym jest Palja zwany „ojcobójca“, który w oczach Samojedów nie uchodzi za mordercę, gdyż zabił swego ojca na wyraźne jego życzenie. Pewnego dnia wybrał się Palja ze swym ojcem na polowanie na wieloryby. Nagle zerwała się gwałtowna burza i zapędziła obu myśliwych na otwarte morze. Groziła im prawie że pewna śmierć. Wówczas ojciec oświadczył, że bogowie życia życzą sobie jego śmierci i rozkazał synowi, by go zabił. Palja nie chciał spełnić tego rozkazu, ale gdy mu ojciec groził zemstą bogów, zastrzelił go. Na drugi

dzień bryła lodowa, na której wraz z ojcem się znajdował wyrzuciła syna ze zwłokami ojca na ląd.

Śmierć dla Samojedów wogóle nie jest czemś strasznem. Gdy myśliwy się zestarzeje, albo zachoruje i staje się niezdolnym do łowów, prosi swych najbliższych o śmierć. Nikt takiemu życzeniu się nie sprzeciwia, gdyż Samojedzi uważają to za szczęście, jeśli mogą umrzeć z ręki kochanych istot.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Można nadsyłać znaczkami pocztowymi po 30 groszy za numer.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Marceli Lewkowicz** w K.: Nadesłany nam artykuł bardzo dobry, zamieścimy go w właściwym czasie, prawdopodobnie jako wstępny. Nie trzeba talentu chować tylko dla samego siebie. **Józef Kapuściński** w L.: Utwory, przeznaczone do druku, zachowujemy w teczce redakcyjnej, inne idą wprost do kosza. Gdybyśmy chcieli gromadzić wszystko, co nam poczta przynosi, trzebaby urządzić osobny magazyn. **Majsterpan szewc z Dziurawy:** Obietnicą zrobienia bucików na imieniny Maciek bardzo się cieszy. Choć ma głowę wielką, ale nogi skromne, bo nosi numer butów 43. A może ktoś inny prześle mu ubranie (48 numer)? Inne części garderoby mogą być bez numeru, a zegarek wystarczy złoty. Może być, że jakby się go tak odnowiło z wierzchu, bo wewnątrz jest piękny, toby prędzej jaką haderę na małżonkę znalazł. **Piotr Wenc** w S.: Jakkolwiek nadesłany nam artykuł jest dobry i słuszny, nie zamieścimy go w „Roli“, gdyż nie chcemy wszczynać waśni wyznaniowych i narodowościowych. — Mogą to czynić tylko pisma partyjne, do których „Rola“ się nie zalicza. **Antoni Leśniak** w S.: W nadesłanym nam wierszyku pierwsza zwrotka bardzo dobra, ale w drugiej już Pan utknął, dobierając niefortunny rym: piór - laur. I znów dalsze dwie zwrotki dobre. Talent jest, więc go zaniedbywać nie trzeba. **Franciszek Surówka** w K.: Nadesłany wierszyk dobry i dla nas bardzo miły; będziemy starali się go zamieścić. **Józef Górecki** w K.: Zagadki mamy w tece; czekają na swą kolej. **Mieczysław Stawarz** w P.: Oczywiście pamiętam i cenię nadzwyczaj przywiązanie Pana do „Roli“. Wyróżnienie Pańskiego utworu na konkursie było zupełnie zasłużone. Łączę pozdrowienia. **Kluż Paweł** w M.: Numera regularnie wysyłamy, tylko w roku ubiegłym był numer 178, a w bieżącym 170. — W prenumeracie zaszedł błąd drukarski, i to czytelnicy spostrzegli, bo prenumerata na cały rok zapłacona powinna być tańsza, a nie droższa. Gdy spostrzegliśmy, błąd poprawiono. Za uznanie dla „Roli“ serdeczne dzięki. **Marja Łagowska** w K.: Za uznanie dla „Roli“ dziękujemy. Wzajemne pozdrowienia tak dla Pani, jak i dla p. „Maryśki“. **Wł. Mirek** w N. Rachunek posłaliśmy — rabat odliczony. Następny rachunek z końcem lutego. **Katarzyna Bobal** w S.: Miała Pani posłane wszystkie numera z r. 1926 i cały rocznik 1927 i wszystkie numera z tych roczników Pani otrzymała. Razem było 58 egzemplarzy, t. j. tyle, ile na opakowaniu napisane. **H. Ryżek** w S.: Wierszyk słaby i spóźniony. **Karol Syposz** w R.: Z zagadek skorzystamy. **Józef Pachołek:** Sonet nie udał się. **Jan Żmuda** w Ch.: Pani Małżonce „Rolę“ posyłamy; sądzimy, że jest zadowolona i z „Roli“ i z Pana.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali P. P.:

Ks. Gąska z Radziechowy 1 zł. dla Maćka, K. Syposz 50 gr. dla Kaśki na malarza.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowiżrał z J.).

■ ☆ ☆ ☆ Zwierz.
■ ☆ ☆ ☆ Mają krawcy.
■ ☆ ☆ ☆ Wyspa na morzu Śródziem
■ ☆ ☆ ☆ Jest w sklepie
■ ☆ ☆ ☆ Ma drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ Litera grecka.
■ ☆ ☆ ☆ Owady.
■ ☆ ☆ ☆ Żyją w rzece.
■ ☆ ☆ ☆ Zwierzęta domowe wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ Służy do przewozu.
■ ☆ ☆ ☆ Część świata.
■ ☆ ☆ ☆ Część człowieka.
■ ☆ ☆ ☆ Znosi kura.
■ ☆ ☆ ☆ Człowiek starodawny.

Litery początkowe czytane z góry na dół, dadzą nam nazwę potęgi świata.

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Smaza).

I.

Czy wprost albo wstecz czytamy,
Zawsze imię męskie mamy.

II.

Czytaj wprost, albo wspak, jedno ci wy-[padnie
Śliczna powieść z dawnych lat. Jaka? [niech kto zgadnie

III.

Wprost żniwiarze robią w lecie,
Wspak to kolor, dobrze wiecie.

3. Kalambury.

(Ułożył H. B. Głębicki).

I.

Włożysz w zabawkę literę,
Wyjdziesz potem przed kwaterę,
Spojrzysz z góry na ulice,
Że odgadniesz z tem się liczę.

II.

Gdy zabawa na literze —
Będzie pocisk, kolor, zwierzę.

III.

Gdy pożegnanie, zaimek, daruje,
Świątynię jakąś tutaj nam wskazuje.

4. Łamigłówka w kwadracie.

(Ułożył M. Blum z W.).

W poniższym kwadracie złożonym z 16 podziałek ułożyć: A, A, A, A, A, A, K, K K, N, T, T, U, U, R, R, ażeby odczytać w poziomym i pionowym kierunku wyrazy o znaczeniu obok umieszczonem.

				Dzieło budowy przedpotop.
				Wieczór muzykalno-wok.
				Zwierzę.
				Natarcie (inaczej).

5. Układanki geograficzne.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Zwierzę ziemne + mieszkanie = wyspa.

Miara pow. wstecz + mieszkanie = miasto w Polsce

Słowo pożegnania + żywność = miasto w Europie.

Imię męskie + spółgł. + zaimek = miasto w Polsce.

Napój + zjednoczenie inaczej = kraj w Europie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 14 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 3—4 „Roli“: 1. Logogryf: Ludzie bezdomni. 2. Szarady: I. Złodzieje. II. Rękawy. 3. Układanki: Styka, Bassara, Kościuszko, Bełza, Kossak. 4. Kwadrat magiczny: Tank-Abel-Nero-Klon.

Dobre rozwiązanie w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Ks. Maciej Suchodolski z T., Piotr Leśniak z M., Józef Kopacz z S., Józef Topolski z B., Piotr Wenc z Ś., Jan Jura z K., Józef Węgiel z C., Stefan Jaworski z P., Hela Bandułówna z M., Franciszek Klimczak z W. (l. 131), Jan Wyrobek z J., Marjan Wietrzny z L., Jan Gara z W., Józef Górecki z K., Czesław Waśkowski z U., Józef Garczek z C., Jakób Jeziorański z K., Jan Kopeć z D., Alojzy Niestrzębski z B., Karol Syposz z R. (wierszem), Józef Pachołek, Henryk Bilka Głębicki z S.

Nagrody wylosowali pp.: Czesław Waśkowski z U. i Marjan Wietrzny z L.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Racja, fizyka...

— Czegóż mi zachwalacie to szkapsko, kiedy ono ślepe...

— A czy to panu Michałkowi potrzebny koń do ciągnienia pługa, czy do czytania gazet?

Nie warto.

— Bój się Boga Stefciu — rzecze nauczycielka — masz już lat piętnaście i nie potrafisz napisać bezbłędnie własnego nazwiska?

Stefcia: A czy się to opłaci? Za kilka lat wyjdę za mąż i będę się znów nazywać inaczej.

Bez pomocy.

— No, no, taka duża wieś, i kościół, i gmina, a niema ani doktora, ani felczera?

— Coby tu doktór robił, naród zdrowy, a jak komu przyjdzie na śmierć, to i bez niczyjej pomocy umiera.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 31 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·62 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·75 zł.	Cielęta .	od 1·40 do 2·42 zł.
Krowy .	od 0·84 do 1·65 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·21 do 2·62 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.30

Giełda płodów rolniczych

z dnia 31 stycznia b. r.

Pszenica .	34·00—34·50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	20·50—21·00	Ziemniaki stoł.	6·00—0·00
Owies . .	17·00—18·00	Koniczyna nasienn. czer.	160·00—170·00
Jęczmień .	19·00—20·00		
Fasola biała	73·00—75·00	Mąka żytnia	38·00—38·50
Groch zwyk.	40·00—42·00	Mąka pszen.	69·00—70·00
Siano słodk.	9·00—9·50	Otręby pszen.	15·00—00·00
Łubin żóły	30·50—31·00	Otręby żytnie	13·50—14·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.